WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI
I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

POCZET NOWY.

TOMIK JEDÉNASTY.

WILNO.
JÓZEF ZAWADZKI WŁASNYM NAKŁADEM.
1836.

Dozwala się drukować, pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno 1836 d. 24 Listopada.

Cenzor L. Borowski.

OBYCZAJE LEOŃCZYKÓW.

§. I.

Przywiązanie mieszkańców do Religii. — Ubiory. — Małżeństwa. — Rodziny.

Wstąpiliśmy na tę część kraju Małéj-Brytanii, która niegdyś podległą była biskupóm leońskim, i nawet do dzisiejszych dni zachowała miłe naźwisko *Leonatu.* Po obu stronach drogi szło kilkunastu wieśniaków; — od czasu do czasu, krótkie i twarde wykrzyknienia dawały się słyszeć między nimi; staraliśmy się wynaleźć przyczynę, która ich tak poruszała, i zwracała naszę uwagę; wkrótce też zza góry, w stronie

okazanéj nam przez poruszenie ich rąk i zwrócenie oczu, ujrzeliśmy człowieka ku nam idącego. Był to, według naszego mniemania, jakiś nieprzyjazny mieszkaniec pewnéj wioseczki, którąśmy przed kwadransem widzieli między drzewami, niedaleko drogi. W miarę zbliżania się tego człowieka, krok naszych towarzyszy stawał się prędszym, głośniéj dawały się słyszeć wyrazy gniewu i nienawiści, a kije, stanowiące uzbrojenie każdego z wieśniaków, z większą niż przedtém mocą uderzały ziemię. Wszystko to kazało się nam spodziewać jakiegoś zajścia lub zemsty; postanowiliśmy więc mieć się na ostrożności, aby zapobiedz temu, w razie potrzeby. Jednak człowiek wyżéj wzmiankowany zbliżał się ku nam z największą spokojnością, można już nawet było rozpoznać rysy jego, oraz, że był obarczony jakimsiś ciężarem, któremu przypatrywali się wieśniacy, chcąc poznać, coby niósł na rękach, wkrótce na kilka tylko kroków był od nas oddalony. Wówczas już towarzysze nasi podali w tył

prawe ręce, a głuchy szmer zdawał się bydź hasłem do boju. To jednak bynajmniéj nie zatrzymało naszego przychodnia, owszem uśmiech zimny, spokojny, ożywił jego rysy, uchylił płócienną zasłonę, ciężar jego okrywającą, wnet też każdy opuścił ramie wzniesione do boju, schylił głowę i dotknął dłonią kapelusza; gromada rozdzieliła się na dwoje, ustąpiono drogi temu, którego przed chwilą za nieprzyjaciela uważano, a każdy zcicha powtórzył: «Błogosław Boże!»

Ciężarem tym, stanowiącym może główny opór, mającéj się popełnić zbrodni, było drobne dziecię wybladłe i wychudłe, obwinięte w pieluchy, i łatwiej możnaby je było wziąć za martwą, niż żyjącą istotę, gdyby nie zaczęło kwilić owiane zimnym wiatrem.

Widok téj nieszczęśliwéj istoty powściągnął zapalczywość wieśniaków. Szli w milczeniu, a wyraz niechęci i jakiegoś odrętwienia malował się na ich twarzach. Przejęci obaj jedną myślą, spójrzeliśmy się na-

wzajem po sobie; zdarzenie to, malujące doskonale obyczaje Leończyków, wydało się nam jakby treściwe opisanie ich charakteru, któryśmy już pojęli, nie przeto żeśmy ich kraj przebiegli, jako baczni wędrowcy, lub unoszący się artyści, lecz żeśmy ich miłość i ich cierpienia z sobą podzielili.

Są chwile, kiedy serce nasze doznaje jakiejś czczości, pragnie odmiany, więdniejąc w jednostajnym sposobie życia, a dla zebrania nowych wrażeń, każe się nam w obce przenosić krainy. Najczęściéj jednak wracamy z bujną wyobraźnią, podsyconą odmiennémi obrazami, ale ze smutkiem wołać musimy, że mimo odmianę klimatu, pomimo rozmaitość mowy, ubiorów i zwyczajów, wszędzie dają się poznać ludzie dziewiętnastego wieku.

Kraina Leonatu nie jest nam obcą, zdaje się mnie nawet, że są tacy, którzyby nie umieli znaleźć różnicy, ani też mogli czuć, ile nieméj poezyi zawiérają w sobie te wzgórza, te gaje i zachwycające doliny, przerzynane przezroczystémi strumieniami!

Ale kto duszą zgłębia przyrodzenie, kto chce czerpać w łonie jego te myśli, te uczucia, które w nas tylko jedna historya obudzać może, niech się przeniesie do Leonatu, bo w tém tylko jedném ustroniu Francyi zdaje się, że pozostał cień jakiś uprzednich wieków, a zachowując dotychczas ślady piérwiastkowych obyczajów, uniknął niepewności, przez dzisiejszy sceptyzm rozlanéj!

W innych częściach małéj Brytanii wieśniak mniéj jest już gorliwym o swoje wyznanie, i chociaż jeszcze Religija wiele na niego działa, a zwyczaj każe mu powtarzać modlitwy, chociaż uchyla czoło; łatwo jednak daje się postrzegać, że religijny zapał znacznie już ostygł, że dusza jego mniéj się oddaje nadziei nieba i bojaźni piekła, i dalekim jest od tego głębokiego poszanowania, które zostawiło ślady na stopniach kościoła, i od skruchy, która zużyła deski konfessyonału. Jeden tylko Leończyk zachował tę zimną i smętną powagę, dziś jeszcze przedstawiającą się naszemu umysłowi.

Smętność wrodzona osłania jego niewiadomość. Poważny, pogrążony w myślach, zdaje się mniéj dawać baczenia na świat teraźniejszy. Cała działalność życia jest ukryta w niedającéj się zgłębić duszy. Jak wzniosła góra, chociaż osłoniona skałami i lodem, daje przecie poznać, że zawiéra we wnętrznościach grzmiący wulkan.

Krok Leończyka powolny, wspaniały, siłę okazujący, tą myślą kierowany, że Bóg widzi i czuwa nad wszystkiém. W radości nigdy się nie unosi, owszem przybiéra cechę jakiejś uroczystości, i chyba mimowolnie daje poznać swoje poruszenia. Harmonijna jego mowa dobitniejsza jest niżli *Kornualczyków,* zawiéra w sobie śpiéwność, która się w miarę uczuć nadaje. Leończykowie nie znają tańców, malujących uniesienia, tak lubionych od mieszkańców krain wyższych; wesoły *Żabado* (Jabadeaux) przyjęty w prowincyi *Tregie* (Treguier), niemniéj jest przez nich odrzucony. Taniec im tylko właściwy poważny i surowy, odbywa się przy odgłosie jednotonnym instru-

mentu *biniu* (*biniou*) zwanego. Miejsce do tańca najczęściéj wybiérane bywa na cyplach w blizkości morza. Szum wiatru, ryczenie rozhukanych bałwanów, dzikość położenia, połączone z ponurym śpiéwem instrumentu, w czasie nawet tych niewinnych zabaw, muszą naprowadzać umysły na święte i poważne myśli o wieczności!

Suknie Leończyków są szérokie i obszérne, zawsze prawie koloru czarnego, a smutną tę jednostajność zaledwo zmieniają czerwone lub błękitne pasy. Szérokie brzegi kapeluszów spadają na ogorzałe twarze; włosy noszą długie, spływające w pierścieniach aż do ramion. Kobiéty ubiérają się pospolicie w suknie długie, gdzie kolor czarny z białym jest pomięszany. Smutny ten ich strój podobny jest bardzo do ubioru mniszek. Jedne tylko żałobne suknie nie mają téj cechy smutku, są bowiem koloru *błękitno-niebieskiego*, oznaczającego nadzieję; a tak Chrześcijanie ci, nie po śmierci, lecz po życiu zdają się nosić żałobę.

Po rozmaitych badaniach poznaliśmy, że

Leończyk, mimo zdolność przyjmowania wrażeń, w moralném życiu swojém nigdy się nie odmienia. Nie masz dla niego żadnéj ważnéj czynności, jeżeli w niéj Religija nie znajduje swego udziału. I tak, każda odmiana powietrza, postawienie domu, początek robót rolniczych, wymagają pobożnych obrzędów. Zapytaliśmy kiedyś jednego o processyach, odbywających się koło pól uprawionych w czasie *Dni-Krzyżowych*: «Obrządek ten jest nieodbicie potrzebny, odpowiedział nam zapytany, gdyż pola, chociażby i nieplenne były, staną się niémi, kiedy je kapłan pobłogosławi.» W czasie posiłku czeka zgłodniały póki modlitwa pokarmu jego nie uświęci. Przed ukrojeniem chleba naznacza go wprzód znakiem krzyża świętego. W czasie świąt każdy musi się znajdować na nabożeństwie w swojéj parafii, gdyż ani wiek, ani słabość nie może mu służyć za wymówkę. Daje to wspaniały widok, bo wszystkie drogi stają się napełnione ludem różnego wieku i płci, przybranego najczyściéj i najstaranniéj. Spieszą

ze wszystkich stron; ocienione drogi, dzikie brzegi, piasczyste wzgórza, tłumnie się okrywają pobożném pielgrzymstwem; za każdym krokiem napotykać trzeba gromadę, która modląc się dąży w stronę kościoła, gdzie ją odgłos dzwonu wzywa. Jakże przyjemne uczucia sprawuje miły dźwięk wiejskich dzwonów, unoszony wiatrem! zdaje się zatrzymywać przy wzgórzach, tu znowu odbija się od szklistéj powierzchni wody, albo się łączy z cichym szmerem liści, raz jęczy żałobnie, wnet radośne wydaje drżenia, i można powiedzieć, że głos ten, tak dziwaczne wrażenia sprawujący, w miarę blasku słonecznego, w miarę mocy wiatru i według tego, w jakim stanie zostaje wyobraźnia słuchającego, błądzi w tonach ponurych lub radośnych.

Jedyném miejscem, w którém się razem zbiérają wieśniacy Leonatu, jest kościół. Rozrzuceni, mieszkają familijami w pojedyńczych chatkach; zgromadzają się tylko w kościele na wspólne modlitwy, albo już na cmentarzu, gdzie jedni obok drugich

miejsca wiecznego spoczynku zabiérają. Kościół tedy jest dla nich miejscem zastępującém wszelkie zabawy i widowiska. Utrzymanie życia, a ztąd i ciężkie roboty około gospodarstwa, tak ich zresztą zajmują, że myśl ich nie ma czasu szukać innych zabaw. Słyszeliśmy mówiących, że wieśniak *Niższéj-Brytanii* jest to pług wierzący w Boga. Zgadzam się w części na to, chciałbym tylko, aby w nim uważano dwie połowy, które stanowią całość jednéj istoty, to jest, machinę i Chrześcijanina.

Powinności za najświętsze uważane w naszym stanie oświaty, mało mają wagi u tego piérwiastkowego ludu. Zmuszeni przyjmują je z niechęcią. Ślub cywilny za nic jest miany u Leończyków; oszukaństwa za występek nie mają; prawa polityczne są niczém, a wzajemne obowiązki współobywateli są zagadką do rozwiązania. Szkoły bezpłatne, zaprowadzone przez rząd w całym kraju, przez nich są niecierpiane; widzą w tém jakoby *konskrypcyą dzieci*, które oderwane od domu, żadnéj im ulgi w pra-

cach rolniczych przynosić nie mogą. Ale obok téj oziębłości na wszystko, co stało się tak drogiém społeczeństwu dzisiejszemu, znajdują się tamże skarby cnót, rzadkie już bardzo w teraźniejszym wieku.

Uczeń Pana Maltus'a (*Malthus*) przeraziłby się, widząc bez najmniejszéj przezorności zawiérane małżeństwa. Większa część opuszczająca domy rodziców swoich lub opiekunów dla połączenia się ślubem małżeńskim, nie ma nawet miejsca do spoczynku, w piérwszych dniach związku swojego. Widzieliśmy niektórych na ten tylko dzień łóżka pożyczających. Ale po cóżby mieli tak się troszczyć o to? Nie czująż téj piérwiastkowéj siły życia, dającéj tyle mocy do zniesienia wszelkich cierpień? Nie mająż zaufania w Tym, który i drobnemu stworzeniu udziela pokarmu? Gdyby też nad każdą rzeczą czuwała ludzka przezorność, na cóżby się nam bozka przydała Opatrzność? W tym narodzie nakoniec, gdzie wszyscy są związani węzłem braterskiéj miłości, nie mogąż słusznie polegać

na wzajemném udzielaniu sobie pomocy? Ubodzy narzeczeni obiegają przyjaciół i krewnych, zapraszając na dzień swego wesela. Nikt nie chce odmówić, i wszyscy się na czas naznaczony zbiérają; bo wiedzą, że to jest właśnie pora dobrych uczynków, znoszą dla nich obfite dary, które na ziemi swojéj zebrali: zboże, len, miód, czasem i pieniądze, udzielane pospolicie bywają nowożeńcóm. Można nieraz do trzechset naliczyć osób, zbiérających się na podobną uroczystość. Ofiary takowe stanowią początek gospodarki Państwa młodych; zdarza się, że po kilkaset franków w dniu tym uzbiérają. Jest to pewien rodzaj pożyczki, któréj zgromadzenie Chrześcijan udziela biédnemu bratu swojemu, aby ten mógł już jakiekolwiek między niémi zajmować miejsce.

Tysiąc podobnych zwyczajów, bynajmniéj nam nieznajomych, dotąd się jeszcze zachowuje w Leonacie. Tak naprzykład kobiéta po szczęśliwém rozwiązaniu rozsyła wszystkim swoim zamężnym sąsiadkóm

w tym stanie będącym pirogi i ciepłe wino. Jest to jakby wspólna uczta między tą, która już została matką, a wszystkiémi oczekującémi jeszcze tego słodkiego imienia. Z resztą urodziny są u nich wypadkiem religijnym i uroczystym, do czego łączy się mnóztwo wspaniałych i ciekawych obrzędów. Kobiéta w chorobie otoczona jest wszystkiémi młodémi matkami z okolicy, każda śpiészy z podaniem piersi nowo narodzonemu; dziecię to bowiem uważane jest jakby z nieba posłaniec, usta więc te niewinne posiadają jakąś świątość udzielającą się téj, która mu piersi swoje ofiaruje, a piérwszy uśmiéch ma im szczęście przynosić. Ta myśl tak mocno jest w nich ugruntowana, że nowo-narodzone dziecię, z rąk do rąk przechodząc powraca na łono téj, która mu życie dała znalazłszy tyle matek, ile było przy łożu nowo-zamężnych niewiast. Jeżeli śmierć wydziéra mu prawdziwą jego matkę, w tym razie nie jest bez pomocy zostawione. Proboszcz zbliża się do kolebki otoczonéj milczącémi niewiastami, bie-

rze dziecię na ręce, a wybrawszy najgodniejszą posiadania téj nieszczęśliwéj istoty: «Oto, powiada do niéj, dziecię, które ci Bóg zsyła.» Z podziękowaniem przyjmuje matka szczycąc się, że zpomiędzy wielu została wybraną. Zdarza się, iż sąsiadki zeszłéj niewiasty w takiéj zostają nędzy, że żadna z nich nie byłaby w stanie utrzymania nowo-narodzonego, wówczas należy ono do nich wspólnie i wszystkie się niém opiekować muszą. U jednéj z nich znajduje przytułek, inne zaś mają godziny przeznaczone na doglądanie i karmienie. Widzieliśmy niektóre porzucające o północy łoże swoje i przebiegające dość znaczną odległość, dla wypełnienia tych świętych powinności, a nigdy najmniejsza skarga z ust ich nie wyszła.

Świadkowie tych czułych i zachwycających scen, musieliśmy często się oddawać téj myśli, że przyjdą czasy, które to wszystko zdołają odmienić.

«Przejdzie i ten naród nieodmienne koleje losu, przez które wszystkie przechodzić

musiały! W tych samych miejscach wieki poźniejsze będą widziały *miłość ludzkości* w zastępstwie téj skromnéj i zobowiązującéj *miłości chrześcijańskiéj* udzielanéj zarówno w radości i smutku. Przyjdą czasy kiedy będą się starali czułym wyrazom: «kochajcie się wzajemnie» dadź inne znaczenie; a wówczas Leończykowie w ostatnim stopniu zepsucia, będą, jak dzisiejsza Francya, wołali: «niech mrą z głodu dzieci i ubodzy, kiedy «ci którzy się z naszéj wzbogacają pracy, «nie chcą przyłożyć się do ich wyżywienia.» A bogaci, więcéj może bojaźnią niż litością wzruszeni: «nie dozwalajmy na naszych pro«gach umiérać dzieciom tego ludu, dajmy «im raczéj wychowanie; otworzmy domy «wsparcia i pracy: wstrzymajmy rospacz ich, «bladość bowiem tych twarzy wychudłych «jest przerażająca, a więzienia wszystkie za«pełnione.»

«Wówczas to przypomną, że w stolicy Leonatu jest wzniesiony z wielkim nakładem dom dla przytułku nieszczęśliwych sierót; przypomną, że przed bramą jest zawieszo-

na skrzynia, a przy niéj łańcuch od dzwona. Niejedna nieszczęśliwa kryjąc przed okiem wszystkich dziecię w żywocie jeszcze będące pokilkakroć przechodzić będzie, aby się oswoić z ponurym widokiem otwartéj skrzyni i okropniejszym jeszcze dźwiękiem łańcucha zawieszonego przy murze. Widok ten przeszyje jéj duszę; w nędzném mieszkaniu przedstawi się to jéj oczóm; a straszliwa burza będzie miotała jéj sercem. Jęczy oddana boleści, a nikt łoża jéj nie otacza, nikt już bowiem nie myśli, że dusze te obcowały w niebie z Jezusem Chrystusem, i dla tego tylko na ziemię zstępują, aby przywdziać na się postać ludzką; niech każda myśli o sobie, wołają, bo ciężkie zimy i częste wojny wszystkich zarówno do nędzy doprowadzają. Biédna kobiéta ociera łzy, przytłumia głos serca, ze straszliwą zgryzotą poddaje się losowi swojemu, idzie kryjomo złożyć tę istotę, którą wydała, do obmierzłego żłobu, gdzie może już śmierć rozpościéra swoje panowanie; z konwulsyjném drżeniem porywa łańcuch, i ucieka na od-

głos ponury dzwonka, dźwięk ten może jest dla niéj hasłem wiecznego pożegnania! Ach oto piérwsza i ostatnia powinność, którą ubogie matki dziecióm swoim oddadzą!

«Mądrzy dowiodą, nawet Niższéj-Brytanii, że jałmużna nie powściąga, ale powiększa żebractwo, zaginie więc miłosierdzie, a biédny ze wzgardą odepchnięty będzie.

«Ustanie osobista dobroczynność, a na jéj miejsce wzniesie się zakład ogólny dla wsparcia *cierpiącéj ludzkości*, zastosowany do porządku działań administracyjnych.

«Powstaną bióra dobroczynności ustanowione przez króla, pod zawiadywaniem oddzielnego prezesa, karty drukowane ogłaszać będą sprawy tam roztrząsane. Niedołężność i starość z największą pilnością zaciągnie się do ścisłych rubryk. Porobią podziały na boleści i rozmaite cierpienia. Kto nie będzie miał lat lub też dolegliwości w ustawach opisanych, nie wciągnie się do listy cierpiącéj i bez wsparcia odepchnięty zostanie. Prawem uznany ubogi niech psa wiernego nie chowa, niech nie ma ani zła-

manéj fajki, bo to wszystko zbytek oznacza; a biada mu, kiedy wspomniawszy na gościnność przodków swoich, podzieli się chlebem z nieszczęśliwym jakim przechodniem. I w tym stanie jeszcze się za szczęśliwego poczytać powinien, kiedy nad losem jego, w miejscu *kommissarza dobroczynności*, czuwać będą damy z takiém upodobaniem zajmujące się urzędowie ubogiémi, z jakiém wyszukują nowych strojów któreby ich wdzięki podnosiły.

«Dobrzy Leończykowie! przejdziecie przez wszystkie podobne koleje! a poźniéj..... poźniéj będziecie jak my, żyli w samych nadziejach! to oczekiwanie szczęścia w przyszłości tak życie nasze uprzyjemnia, że za nicbyśmy go nie chcieli mieniać na waszę teraźniejszość!»

§. II.

Gościnność. — Powieść opowiadana przez żebraka, o dziewicy Róży le Fur.

Ktokolwiek w podróży po Leonacie doświadczać będzie zimna lub głodu, niech

bez najmniejszéj bojaźni, przy piérwszych drzwiach oprze swój kij podróżny, a sam znajdzie miejsce w pośrzód familijnéj uczty. Nikt nie śmie odpędzić ubogiego, bo on jest: «gościem zesłanym od Boga.» Nędzarz więc bez najmniejszéj bojaźni wstępuje w dom Leończyka, pozdrawiając témi słowy: «niech was wszystkich Wszechmocny pobłogosławi!» «I ciebie łaską swoją obdarzy!» odpowiada mu gospodarz wskazując miejsce przy szérokim kominie: usiada więc przy ognisku zasiloném trzciną i jałowcem; zdejmują mu sakwy, które napełnione darami, poźniéj się mu oddają. Ten nawzajem zawdzięczając gościnne przyjęcie, opowiada nowiny, o których się w okolicach wywiedział. Powié mu, że *rektor* parafii *Mespaul* albo też *Guidau* jest cierpiącym na zdrowiu; lub doniesie mu, że urodzaje w *Plounéour* są dojrzalsze niż w *Tolé*; czy płótno było popłatne na ostatnim jarmarku w *Landernan*. Wymieni niektóre użyteczne lekarstwa, albo powié mu o pielgrzymie do św. Jana *Du-Doigt* uleczającym chorobę oczu. Będzie go

zachęcał do kąpieli w źrzódle św. Wawrzyńca, mającém własność zapobiegania bolów reumatycznych. Ukaże dziewicóm źrzódła, gdzie szpilka od gorsetu wrzucona, jeżeli ostrym końcem padnie na dno, dziewica niechybnie w przeciągu roku wyjdzie za mąż. Opowie jak na jarmarku świętomichalskim w *Pinzé* widział wiele dziewic siedzących na moście i jaki był tłum młodzieńców wybiérających żony, jak potém wiele się małżeństw skojarzyło. Żebrak Niższéj-Brytanii jest gazetą chodzącą, a oprócz tego często miejsce barda zastępuje. Śpiéwa najnowsze treny w *Morlaix* ułożone, opisujące utonienie ośmiu niewolników w blizkości *Kerlaudy*, albo też zabójstwo młynarza w *Pontou*. Często też spełnia obowiązek dziewosłęba upraszając w imieniu nowożeńca o rękę dziewicy. Oni to też najwięcéj umieją tylko zabobonnych powieści stanowiących najprzyjemniejszą zabawę Leończyka w czasach długich zimowych wieczorów, gdy są opowiadane przy rozłożoném ognisku. Tkwi nam ciągle w pamięci dzi-

waczna powieść, którąśmy słyszeli, jednéj nocy, kiedy nas polowanie i niepogoda zmusiły szukać schronienia w skromnéj lepiance Leończyka. Staramy się ją przytoczyć jak można najdokładniéj; nie mamy jednak nadziei, aby tyle na czytelnikach, ile na nas, sprawiła wrażenia. Opowiadanie jéj bowiem słyszeliśmy w nocy, przy w pół tlejącém ognisku, w czasie przerażającéj burzy, kiedy wątła lepianka co chwilę oświecała się okropnym połyskiem błyskawic: dodadź do tego należy, żeśmy ją słyszeli w chrapliwéj bretońskiéj mowie, wśrzód zlęknionego tłumu niewiast i dzieci; wychodziła z ust na wpółukrytego starca, który, z zimną powagą, drżącym i przytłumionym głosem nam ją opowiadał.

WSTĘP.

«*In nomine patris et filii et spiritus sancti.* Błagam Boga Ojca wszechmocnego, «Jezusa Chrystusa syna Jego jedynego i «Ducha świętego, aby słowóm moim taka

«moc była nadana, żeby młode osoby płci «obojéj mogły znaleźć korzyść w téj praw«dziwéj powieści. Często bowiem dobre «wspomnienie duszę od wiecznéj zagłady «wyswobadza. *Amen.*

CAŁUN.

«Powszechnie znana niegdyś była młoda «dziewica w *Plonescat* Róża la Fur zwana. «Piękna jak ranek majowy i tyle wiadomo«ści posiadająca, ile może mieć panna wy«chowywana w klasztorze.

«Zgubiły ją złe rady. Lekka jak słomka «biegła wszędzie, gdzie ją podmuch wiatru u«nosił, myśląc tylko o pochlebstwach mło«dzieży, i zajęta podbiciem wdziękami swo«jémi nowych niewolników dla serca swo«jego. Nigdy już jéj nie widziano w koście«le; unikała konfessyonałów; a w godzi«nach nieszpornych widziano, jak ująwszy «się za ręce przechadzała się ze swoimi ko«chankami. Przyszedł dzień *zaduszny*, a *nie* «*odwiedziła grobu matki swojéj.*

«Słuchajcież z uwagą historyi Róży la «Fur z *Plonescat* i pamiętajcie, że Bóg karze niepoczciwe dziatki.

«Pewnego wieczora w dość odległém «sąsiedztwie, słuchając powieści zabawiła «do poźna. Wracała jedna nucąc piosnkę, «której się od młodego *Roskowity* nauczyła. «Wesoła jak rybka zbliżała się do cmentarza, «a że droga tamtędy ją prowadziła, z lek«kością wskoczyła na wschodki.

«Tylko co stanęła na cmentarzu północ «uderzyła !..... Młoda jednak dziewica nie «przestała myśleć o pięknym *Roskowicie*, i «nucić jego ulubionéj piosnki. W nic nie «wierząc przebiegała to święte miejsce wie«cznego spoczynku, nie żegnając się, ani «modląc się za duszę tych, których zwłoki «pod jéy stopami spoczywały.

«Mijała już drzwi kościelne, gdy postrze«gła, że każdy grób pokrywał biały całun, «przytrzymywany po rogach cztérema czar«némi kamieniami. Zatrzymała się dziewica «właśnie przy grobie swojéj matki. Lecz i «w tym razie szatan jéj nie opuścił w miej-

«scu przejęcia się tém uroczystém wzrusze-
«niem, które na nas grób każdego człowie-
«ka wywiéra, nachyliła się ze zwyczajną so-
«bie płochością, podjęła całun i uniosła go
«do domu.

«Zaledwie usnęła, wnet okropne marze-
«nia zaczęły trapić jéj duszę.

«Zdało się jéj, że znajduje się na cmen-
«tarzu, grób jakiś otwiérał się przy niéj,
«z niego zimna ręka szkieletu wydobywała
«się, i ku niéj się wyciągała, a głos pod-
«ziemny, okropny, bezprzestannie powta-
«rzał: *oddaj mi całun! oddaj mi całun!* i
«czuła, jak w tejże chwili jakaś moc nad-
«przyrodzona wtrącała ją do tegoż rozwar-
«tego grobu.

«Przebudziła się z największą trwogą,
«lecz trzykroć sen zawarł jéj powieki, i
«trzykroć toż samo marzenie przedstawiło się
«jéj przerażonéj duszy.

«Ledwie błysnął poranek, zatrwożona
«dziewica pobiegła do rektora, i opowie-
«działa co się z nią w nocy działo.

«Uczuła, że była winną, wyznała mu

«wszystkie swoie błędy, a łzy okazały jéj «niezmyśloną skruchę.

«Znalazła w rektorze prawdziwego apo«stoła; dobry dla biednych, litujący się nad «nieszczęśliwémi, słodki, łagodny, życzący «każdemu ulgę przynieść, témi ją wyrazy «pokrzepił: Córko moja, byłaś w błędzie, «nie oddałaś winnego uszanowania duszóm, «których ciała na cmentarzu spoczywają, «dzisiejszéj nocy udaj się na to miejsce i «odłóż całun, zkąd go wczoraj wzięłaś.

«Nieszczęśliwa zaczęła płakać, cała jéj «bowiem odwaga znikła w téj chwili, lecz «w te słowa rektor do niéj przemówił: miéj «w dobrém śmiałość, idź, ja będę czuwał «i modlił się za ciebie w kościele, a głos «mój da ci się słyszeć na cmentarzu.

«Dziewica przyrzekła wypełnić to, co «jéj poważny kapłan nakazywał. W nocy «udała się na cmentarz, nogi się pod nią «chwiały i wszystko się w jéj oczach obra«cało. Tylko co wstąpiła na poświęconą «ziemię, uderzyła północ, i *księżyc skrył* «*się za chmury*..

«Nastąpiła chwila milczenia.

«Wkrótce dał się słyszeć głos księdza: «Córko moja, rzekł, gdzież jesteś? pamię-«taj że czuwam i błagam Boga za ciebie!»

«Jestem nad grobem matki mojéj, sła-«bym odpowiedziała głosem . . . .; nie opu-«szczaj mię, o mój ojcze! . . .

«Znowu milczenie..

«Miéj odwagę, przemówił szanowny pa-«sterz, może Najwyższy wysłucha modli-«twy mojéj.

«Ojcze mój! ojcze! widzę roztwiérające »się mogiły i umarli powstają.

«Tu głos tak się stał słabym, iż można «było myśleć, że woła z jakiegoś odległe-«go miejsca.

«Miéj wytrwałość, rzekł jéj kapłan.

«Wtém jeszcze ciszéj wymówiła, do-«piéro rozpościerają całuny nad swémi gro-«bami. Ale ojcze mój nie opuszczaj mię!

«Modlę się, i cóż teraz widzisz? córko moja!

«Otoż rozwarł się grób matki mojéj . . . . «Oto i ona . . sama . . . ach ojcze! . . . . . mój!

«Tu kapłan mimo największą uwagę nic, «oprócz jakiegoś głuchego szmeru, słyszeć «nie mógł. Wtém znagła przerażający krzyk «uderzył jego zdumiałe ucho, towarzyszył «mu okropny łoskot, pochodzący jakby od «spadnienia kilku kamieni grobowych, i zno«wu wszystko ucichło.

«Strwożony kapłan padł na kolana, z wię«kszą gorliwością zaczął się modlić, odwa«ga bowiem jego zachwiana została.

«Naprożno nazajutrz szukano wszędzie «Roży la Fur; już się więcéj nigdzie nie «ukazała: *Grób jéj matki przyjął ją w swo«je zimne objęcia.*»

ZASTOSOWANIE MORALNE.

«Tak dziewice i młodzieńcy bierzcie «przykład z téj powieści. Bądźcie poczciwi, «czcijcie Boga i kochajcie waszych rodzi«ców, bo oto jak Bóg karze lekkomyślność «i złe serce.»

Słyszeliśmy wiele podobnych powieści i staraliśmy się je najdokładniéj tłumaczyć, ale

pozbawione ojczystéj swojéj mowy, mniéj zajmują i mniéj wagi mają niżeli powieści w naszéj wyobraźni pozostałe.

§. III.

Śmierć i pogrzeby. — Kazania. — Mowa fanatyczna Jana de Guielan.

Żadne zdarzenie w życiu Leończyka nie zawiéra w sobie tyle powagi religijnéj, ile śmierć. Śmierć dla niego jest końcem wszystkich cierpień, jest to przybycie na granicę tego świata, gdzie wszystkie jego nadzieje mają się spełnić, gdzie otacza się całą wiarą swoją i odkrywa w sobie całą istotę chrześcijańską. Rzadko bardzo sztuka jest wezwana dla pomocy lub uzdrowienia cierpień: od niejakiego czasu są używani doktorowie po wsiach; lecz jeszcze nie zjednali powszechnego zaufania. Najzwyczajniejszą pomocą w chorobach Leończyka są jakieś proste leki, które z ust do ust, od pokolenia do pokolenia przechodzą, a z tych właściwsze, modlitwy, msze odprawiane w parafii i śluby do niektórych wybranych

świętych Patronów. Każdéj niedzieli, w godzinach nieszpornych, widzieć można, jak zapłakane kobiéty, z zapalonémi świécami, przystępują do ołtarza Matki Bozkiéj; są to siostry, matki, żony, błagające o przedłużenie życia istotóm kochanym, teraz w ciężkiéj chorobie zostającym, u Najświętszéj Niewiasty, która znała jak wiele kosztują łzy wylane nad grobem. Zliczywszy świéce palące się bladawém światłem przed ołtarzem, można wiedzieć jak wiele jest osób blizkich zgonu w parafii, wiele domów, gdzie przelęknieni krewni z przerażeniem słuchają ostatniego chrapania konającego i wiele stroskanych żón ma przyjąć smutne imie wdowy. Nie mogliśmy nigdy widzieć tego niemego ogłoszenia, zapowiadającego skonanie, bez uczuć litości i trwogi; zdaje się, że dla tego nawet stawią te świéce na ołtarzach, aby ustawnie każdemu przypominać, jak śmierć blizka, jak wielka słabość człowieka.

Kiedy do tego stopnia osłabienia dojdzie chory, że najmniejszéj nadziei otaczający łoże

mieć nie mogą, cała familija klęka przy niém około cierpiącego, a najstarszy głośno odmawia modlitwy konających. Kapłan przychodzi z ostatniémi sakramentami. Umiérający je przyjmuje z największą spokojnością: oddany myślóm swoim, w obliczu Boga, wśrzód szmeru modlitw, umiéra, ubogi jak za życia, ale przekonany, że świetném będzie przejście jego na drugi świat, u drzwi bowiem wieczności czeka na niego gwiazda, która mu wciąż przyświecać będzie. Żal familii jest poważny i jakąś świętością nacechowany. Leończyk nigdy się nie stara usunąć obrazu śmierci zprzed oczu swoich. Twardy dla swéj duszy jak i dla ciała, nie uchyli się od cierpień moralnych, ani też będzie unikał znużenia lub niebezpieczeństwa. Wówczas, gdy mieszkaniec miasta stroni od cierpień i losy dręczące chciałby omylić, aby nie zraniły serca jego; wieśniak bretański otwarcie staje naprzeciw boleści, sam ją przyjmuje, w wybiegach ulgi nie szuka, z odwagą dotrwa do końca. Każcie zamykać drzwi, aby nie słyszeć

śpiéwów pogrzebowych; przytłumcie głos modłów kapłańskich; on zaś nie opuści komnaty, w któréj ciało zmarłego spoczywa, patrzeć będzie jak zapalają świéce, wkładają czamarę, wierzch truny zabiją; a gdy grobarze uniosą zwłoki, pójdzie za niémi z odkrytą głową, nie odstąpi od mogiły, póki ziemią nie zasypią truny, i nie wprzód ztamtąd wróci, aż usłyszy słowa kapłana: «*Pokój niech będzie z wami!*» Zdaje się mnie, że nic gwałtowniéj nie może nas wzruszyć, jak widok nieszczęśliwego, tłumiącego żal pod pokrywą głębokiéj spokojności, wypłacającego smutną powinność zwłokom miłéj mu za życia osoby. Ten przepych smutku, że tak nazwę, zawiéra w sobie niepojętą moc, która zarazem rozdziéra serce i zachwyca. Tutaj jakaś władza nadprzyrodzona, na widok tego uroczystego obrządku, odkrywa głowę i każe ugiąć kolano; ktożby przed tym ludem, z taką mocą w przyszłe wierzącym życie, śmiał okazać chociaż i najdrobniejszy ślad jakiegoś urągania lub niedowiarstwa?

Nazajutrz po *Wszystkich-Świętych* w *Dzień Zaduszny*, cały lud przywdziéwa żałobę, a każda rodzina oddzielnie uświęca dzień ten postem i modlitwami. Około północy, po familijnéj uczcie, udają się na spoczynek; ale wprzód zastawują stoły okryte rozmaitémi potrawami: czuły bowiem przesąd każe im wierzyć, że ci, których stratę opłakują, porzucają miejsca wiecznego spoczynku, i przychodzą corocznie, w téj porze, odwiedzić te strzechy, gdzie dni ich początek wzięły, i zasilić się pokarmem zastawionym dla nich przez krewnych i przyjaciół. W wielu jednak miejscach znika już ten zwyczaj.

Można łatwo poznać po tém wszystkiém, cośmy tutaj przytoczyli, jak jest wielka władza księży w Niższéj-Bretanii. Trzeba jednak wiedzieć, że duchowieństwo to różni się bardzo od tego, które daje się po naszych miastach widzieć, gdzie każdy członek jego jest doskonałym mówcą, a często nawet biegłym dworakiem. Księża bretańscy, wychodzący ze stanu rolniczego, mają

głos chrapliwy i bardzo proste ułożenie, a pod szatą kapłańską łatwo daje się postrzedz gruba odzież wieśniaka. W grubych sutannach, w szérokich i gęsto nabitych ćwiekami trzewikach, z wielkim kijem w ręku, dają się widzieć w słotach największych na błotnistych drogach lub w niedostępnych gęstwinach, śpieszący do chorych z ostatniémi sakramentami, albo już do umarłych z modlitwą, za zbawienie ich duszy. Nieświadomi i prości, jak owi ewangeliczni rybacy, opuszczający sieci swoje, aby lud nauczać, równą jak tamci przeniknieni wiarą, która, że tak powiém, elektryzując ich mowę, udziela jéj mocy piorunu: kto nigdy nie był obecnym w czasie kazań, nie łatwo zdoła wyobrazić, jak wielką mają moc ci ludzie, postawieni u stóp ołtarzy. Podobny do rozhukanych morza bałwanów, jęczy i płacze strwożony lud na odgłos mowy kapłana; nie są to, zapewne, te ciche łzy, cieńkiémi chustkami ociérane, jakie dają się postrzegać w czasie kazań w miastach wielkich; nie jest to, za-

pewne, wzruszenie, które w nas dźwięczny głos krasomowcy obudza, zalecając nam składać dłonie, nie tak z gorliwości ducha w modlitwie, lecz raczéj jako oklask radości i uniesienia! Nie! — łzy ich są łzami żalu i skruchy; łkania dają się ze wszech stron słyszeć, bo mowca z całą mocą i energiją gromi; są to ludzie żelaznych serc, ryczący z boleści i pokuty, silnémi pięściami uderzający się we wzdęte piersi; niewiasty rozrzewnione schylają pokornie głowy aż do ziemi, wołając straszliwie przebaczenia, na odgłos dwóch słów, które wychodząc z mównicy, wstrząsają całą świątynię, *Wieczność i Potępienie.* Rzadko się bardzo zdarza, aby w ciągu takiego kazania nie wyniesiono kilka osób omdlałych z wielkiego wzruszenia.

Widzieliśmy człowieka, który zmysły postradał w *St. -Pol de Leon:* piorunujące kazanie, odosobnienie i właściwa czułość duszy, wprawiły tego nieszczęśliwego w jakiś przerażający i ciekawy rodzaj fanatycznego obłąkania. Byliśmy świadkami przy-

krego wydarzenia, gdzie się to obłąkanie nam okazało, a przez swoje dziwactwo tak nas zajęło, że nigdy z pamięci nie wyjdzie.

Działo się to w niedzielę, w dzień tak nazwany, *dniem przebaczenia (jour de pardon)*, w małém miasteczku *Penzé*, nie większém od *Toulé*. Liczne zgromadzenie tańcowało nad brzegiem morza.

Nie wiémy, czy tańce wiejskie na wszystkich jednostajny wpływ wywiérają; ale dla nas, o ile widok balów wielkiego świata jest mordującym, o tyle przeciwnie rzeźwią nas i ożywiają ciche wiejskie zabawy. Jak inni zachwycaliśmy się nieraz nad zręcznym tańcem dam miejskich, z roskoszą też odtychaliśmy atmosferą tysiącem woni przyjemnych przejętą, a niezrównane wdzięki niewieście upajały serca nasze! Ale równo z końcem tych zabaw ginęły uroki! każdy uczuwał w sobie niesmak, znużenie duszy i ciała, a w sercu jakąś czczość przykrą nie do opisania. O! jakże jest wielka różnica, jak słodkich doznajemy uczuć, widząc prosty, ale niewinną radość malujący,

taniec wiejski, a jeszcze kiedy szum morza, świst wiatru łączy się ze skromną muzyką, kiedy piersi nasze czystém powietrzem oddychać mogą, nie masz tu tego salonowego natłoku, nie masz atłasowych sukni, których dotknięcie wszystkie w nas namiętności zapala! tego głosu, co nam serce przejmuje, tych rącząt drobniutkich, których całować bez drżenia nie możemy. Tu niebo jest sklepieniem, a słońce zdaje się cieszyć, że wiejska radość nie kryje się przed jego blaskiem; biją wesoło serca pod prostą odzieżą, dają się słyszeć głośne rozmowy i głośniejsze jeszcze śmiéchy, a dłonie bez drżenia wspólnie się ściskają. Tutaj więc człowiek nie jest ściéśniony, bo wszystko jest przed nim otwarte i szczęśliwe. Tutaj prawdziwie radują się w obliczu Boga, a wszystko, co nas otaczą, jest uświęcone szczérą pociechą!

Bawił więc nas prosty taniec Tolezyanów. Jeden z nas, osobliwie dawno już w Bretanii będący, wyszukiwał w téj zabawie prostych wdzięków, które tak silne dzia-

łanie na naszę wywiérają duszę. Rozsypane po dolinie dzieci, biegały z długiémi odroślami wodnéj trzciny, na których, według krajowego zwyczaju, utkwione były bukiety z głogu i stokroci. Oczy nasze ścigały tę małą gromadę rozpierzchnioną, a wspólnie przejęci jakąś smętną myślą, spójrzeliśmy się nawzajem: wejrzenia nasze spotkały jakiś uśmiéch tkliwego zadowolenia, i razem zawołaliśmy: «gdzież? gdzież jest dopiéro Klaudyusz Lorrain? Oto bowiem godło, piękny kwiat miłości, przykryty cierniami smutku i goryczy!» — Wtém znagła jakiś ruch daje się widzieć w tłumie, tańce się wstrzymują, muzyka ustaje. Z ust do ust przechodzi imie *Jana de Guielan*, od wczora już nam znajome. Jako posłannik śmierci, szedł wszędzie ten zapaleniec mieszać uczty i zabawy strasznémi słowy *Żalu* i *Pokuty*. Pewna dama opowiadała w wigiliją, że dziwny ten człowiek od wielu już lat żyje bez przyjaciół, familii i domu. Przebiegał nieustannie kraj cały, wszystkie miasteczka,

wsi i folwarki, tłumacząc Słowo Boże. Nocy przepędzał u stóp krzyżów, rozstajne oznaczających drogi, lub też na progach opuszczonych kaplic; ze wzgardą odrzucał, nieraz, wsparcie, od szczodrych ofiarowane mu mieszkańców; suchy tylko kawał chleba, ręką litościwą udzielony, był jego jedynym posiłkiem. Nigdy, od czasów swojego obłąkania, nie sięgnął ręką dla uściśnienia przyjacielskiéj dłoni, a usta nie wydały innego głosu, oprócz słów świętych, radę lub przepowiednią jakąś oznaczających. Jeśli go noc zimowa mroźna i burzliwa zaskoczyła, a śnieg i szron przykrył kamienne jego łoże, stawał gdzieś na drodze, oparty o znak naszego zbawienia, z różańcem w ręku, śpiéwając, w bretońskiéj mowie, święte pieśni. Nieraz w te ciemne wieczory, spoźniony wieśniak, przejęty trwogą na odgłos jego pieśni, zwracał się lub też z przestrachem omijał to miejsce. Oddawna szérzyła się wieść, że święta moc z niebiós udzielona została *Janowi*, a gdzie tylko śmierć miała kogo uderzyć, uprzedzał ją w te

miejsca, wołając: *Pokuta! Pokuta!* Zaledwo więc piérwszy głos wymówił jego nazwisko, kiedy wszystkie te obrazy ponowiły się w naszéj pamięci, a niewymowna ciekawość przejęła nas w téj chwili. Wnet stanęliśmy w tém miejscu, gdzie się znajdował; wsparty był o sczerniały mur domu, przed kilką lat spalonego. Wysokiego wzrostu, chudy i blady, włosy rozrzucał wiatr po jego ramionach, obłąkane oczy toczyły się z powagą po tłumie. Targał się i wstrząsał głową, podobny raczéj do dzikiego źwierzęcia, niż do istoty ludzką obdarzonéj duszą, a kiedy silném wzruszeniem głowy wstrząsał włosy, te spadając okrywały mu twarz, i całéj postaci jeszcze więcéj przydawały dzikości. Chrapliwe wyrazy bretońskie dawały się często słyszéć, a usta jego jeszcze twardsze wyrażały brzmienia. Początek mowy jego o szkodliwości tańców i wszelkich uciech światowych, jako też o potrzebie pokuty, był dosyć płaskiém powtórzeniem tego, cośmy już kilkadziesiąt razy w kościołach słyszeli. Ale wyrazy jego co-

raz więcéj nabiérały mocy, a wnet z taką siłą dał się słyszeć, że nas samych zadziwił. Wznosiliśmy ramiona, a ręce nasze, założone na piérsiach, coraz mocniéj zaczęły się ściskać: obrazy bowiem, co chwila, stawały się poetyczniejsze, przenośnie coraz żywsze, a wyszydzenia tak silne i ostre, że przechodząc do naszych serc, zdawały się na nich piętna jakieś żelazem wypalać. Jeszcze strwożeni słuchacze znajdowali się na brzegu, gdy zwyczajny przystęp morza, powoli już zajmował piaski, zaciérając ślady, przez tańcujących wyciśnięte. Zręcznie korzystać umiał nasz mówca z tego zdarzenia i porównał to groźne, przy ich zabawach, morze do wieczności, czuwającéj w każdym naszym postępku i w każdém działaniu dającéj postrzegać niezatarte piętna swojéj pomocy. Wtém znagła przechodząc do prostéj i trywijalnéj mowy, w te słowa odezwał się do stojącego przy nim młodzieńca: *A jakże się masz Pietrze? dzień dobry! ciesz się i tańcuj, oto bowiem na tém miejscu, przed dwoma laty, znaleziono ciało*

twojego utonionego brata! Z dzikiém rozradowaniem odzywał się poźniéj do każdego z otaczających, wołając po imieniu i najdotkliwsze wyliczając przygody. Podobne najgrawania trwały dość długo, a jednak słowa jego bynajmniéj mocy nie traciły. Wzgarda, oburzenie i okropność przejmowały słuchających téj straszliwéj mowy, któréj zwroty, jak ostry puginał, wyszukiwały ran jeszcze niezgojonych. Przestając wkońcu dotykać osobiście, mówił o karach, czekających grzeszników, na tamtym świecie, a sądząc o Bogu według swego wyobrażenia, ogłosił, że wszyscy, co za życia oddają się tańcóm i uciechóm, skazani będą na wieczne skoki piekielne. Odmalował to straszne koło potępieńców, w wiecznym ruchu zostające, przy odgłosie płaczu, łkania i zgrzytania zębów, wydane na różne cierpienia, coraz się ponawiające. Znowu przejęci podziwieniem spojrzeliśmy po sobie: dotychczas bowiem nic nie słyszeliśmy więcéj wzruszającego, okropniejszych obrazów zawiérającego, coby się

dało porównać z tém opisaniem, napełnioném płaczem, znów śmiéchem, modlitwami z przeklęctwem połączonémi, a tyle ognia i życia mieszczącego w sobie.... W gromadzie otaczających płacz i jęki bynajmniej nie ustawały.

I tą razą chciał mowca nasz korzystać z powszechnego rozczulenia, i natychmiast przedstawił szczęście wybranych; ale tu mowa jego była słaba i pozbawiona życia, gdzie niegdzie przebijał się tylko ów zapał fanatyczny, a zwłaszcza, gdy mu wypadło napomknąć o pokutach i potrzebie wyniszczania ciała, aby tém większą mieć u Boga zasługę. Dopiéro przystąpił do opisania życia swojego, a mowa jego do piérwszéj powróciła mocy, znowu styl wzniosły i górne przenośnie równały ją ze słowami pisma świętego. Opisywał daléj, jak stracił majątek, dzieci i żonę, a po każdéj stracie powtarzał:— «Dobrze się stało, albowiem Przedwieczny tak chciał, a Imie Jego święte niech będzie błogosławione na wieki!»

Znowu dały się słyszeć powszechne łkania.

Mówca tymczasem udzielał otaczającym rady i zachęcał do pokuty; lecz wnet się znowu uniósł i powiadał, że wszystkie te jego straty i cierpienia były jeszcze niedostateczne na zgładzenie grzechów. Mówił, że mu się jednéj nocy, we śnie, ukazał Jezus Chrystus, i rzekł: — Janie daj mi lewą rękę, albowiem dla zbawienia ciebie tak wielkie męki poniosłem. — Panie! już ona do Ciebie należy, i wypełniłem moję obietnicę, zawołał podnosząc lewe ramie bez ręki; tu postrzegliśmy ranę, okrytą zakrwawionémi płachtami, któréjśmy dotąd nie uważali.

Głuchy szmer przerażenia rozszedł się po tłumie; kobiéty ze drżeniem skryły w dłoniach swe twarze.

— «Któż się tu lęka? kto się przestrasza, z wzrastającym zapałem wołał nieszczęśliwy. Nie oddałemże Bogu, com wziął od Niego? Jeżeli czyn ten, wykonany z rozkazu Jezusa Chrystusa, przytłumia

uczucia, które serca wasze powinny ożywiać,—potępienie niech cięży nad wami!... Oto czego Chrystus po mnie wymagał, a wola Jego była dla mnie świętą!»—W tejże chwili, z gorączkowém uniesieniem, zerwał płachty, wstrząsł uciętą ręką, a potok krwi wytrysnął na dwadzieścia kroków w około i skropił głowy strwożonego ludu.

Przeciągły krzyk rozległ się ze wszystkich stron; większa część przerażonych słuchaczów rozpierzchła się natychmiast. Kilku wieśniaków rzuciło się na ratunek nieszczęśliwego *Jana*, i omdlałego przenieśli do pobliżkiéj chatki.

Dopiérośmy poznali, jak jest wielki zapał fanatyka; drżący z poruszenia w milczeniu opuściliśmy nadbrzeżne piaski.

Ostatni ten rys charakterystyczny Leończyków, tém dzielniéj dawał się nam uczuć: tu bowiem nastąpiła chwila naszego rozstania; jeden z nas miał się udadź niezwłocznie do *Nantes* w Wyższéj-Bretanii, drugi zaś do Paryża. Dotychczas z przyjemnością zachwycaliśmy się, patrząc z rozmaitych

punktów na obyczaje tego odrębnego ludu. Odtąd podziwienie połączone ze wstrętem ku tym cnotóm i występkóm, na szczęście, tak odległym od tegoczesnego sposobu myślenia, zajęło miejsce tych słodkich uczuć. Tak to ślepe posłuszeństwo przesądóm zestarzałym, jakże w nas miłe, na samym wstępie, zrobiło wrażenie; lecz w jak okropne i dzikie musiało się zmienić, w dzień naszego wyjazdu!

Nazajutrz musieliśmy się już pożegnać;— już dłonie nasze scisnęły się wzajemnie w porcie Morle (*Morlaix*), głosy nasze zarazem wykrzyknęły: «Bądź zdrów Emilu!— Żegnam cię Edwardzie!»—a jeszcze wydarzenia wyżéj wzmiankowane dusze nasze przejmowały.

(*Revue Encyclopedique.*)

LUDWIK BOJANUS (*).

Ludwik Henryk Bojanus, urodził się 16 Lipca 1776 roku w Alzacyi, w departamencie niższego Renu, w mieście Buchsweiler (*Bischwéiler*) należącém podówczas do hrabstwa Hanau-Lichtenberg, cząstki Rzeszy nie-

(*) Wiadomość o życiu i pismach Professora Ludwika Bojanusa, z notat moich zebrana, umieszczona już została w *Tygodniku Petersburskim* N. 80–84 1835. Lecz te notaty były ylko materyałem surowym, który przetopić i w szykowniejszą postać odlać należało. Prócz tego, weszło tam mnóstwo rzeczy medycznych, szczególnie zaś zootomicznych tak co do textu, jako co do przytoczonych cytacyj, które dla popularniejszego czytelnictwa,

mieckiéj, pod rządami ówczasowego Landgrafa Hessen-Darmsztackiego. Ojca miał Jakóba, członka w biórze lasów książęcych, matkę z domu Krohmejer. Z trojga pozostałego rodzeństwa najstarszy, wychowany był w Religii protestanckiéj. Znamienite podówczas gymnazyum w miejscu urodzenia młodego Ludwika, było źrzódłem początkowych jego nauk; języki: łaciński i grecki przyszły mu z łatwością, niemiecki i francuzki były mu ojczyste. Gdy w roku 1789 cyrkuł niższego Renu od Rzeszy nie-

albo są z trudnością dostępne, albo wcale obojętne. Uprzątnąwszy więc, ile to można było, te niestosowności, w miarę mojego jakiegożkolwiek usposobienia, wystawiam dzisiaj wizerunek czcigodnego mistrza mojego, w jednę zebrany całość, który, prócz innych względów, i dla tego nawet, może się wydadź poprawniejszym, że go pod mojém okiem wydrukowano; chociaż i tak zarys ten żywota i prac uczonych, niepospolitego w swoim przedmiocie, europejską wziętością uwielbionego męża, niedostatecznym jest hołdem, który pamiątce jego, jako wdzięczny uczeń odważyłem się poświęcić. (*Autor.*)

mieckiéj przez Francuzów został oderwany, rodzice Bojanus'a z dwoma synami i córką, przenieśli się do Darmsztatu, gdzie ojciec tenże co przedtém urząd sprawował. W ciągu przykładania się do nauk początkowych, Bojanus dziwną okazał zdatność do rysunku, co było ojcu powodem, iż go do téj sztuki zachęcał; ale przeznaczenie chciało, aby talent rysowniczy był w nim połączony ze znajomością sztuki lekarskiéj, którą kosztem W. książęcia wejmarskiego w uniwersytecie jeneńskim, pod Hufeland'em, Loder'em, i innymi sławnymi mistrzami nabywszy, otrzymał w roku 1797 Lipca 16, w 21 roku życia stopień doktora medycyny i chirurgii, i mało co poźniéj został członkiem tamecznego towarzystwa lekarskiego. Wsparty szczodrobliwością tegoż książęcia, udał się potém do Wiédnia, gdzie się pod Janem Piotrem Frankiem w sztuce lekarskiéj doskonalił; ze sławnym się lekarzem Gall'em zaprzyjaźnił, i świéżą podówczas jego naukę o czaszce i mozgu powziął, a powróciwszy w roku 1798 do

Darmsztatu, szczęśliwie praktyce lekarskiéj przez dwa lata poświęcał się, i tamże w roku 1801 dnia 20 marca członkiem rady lekarskiéj został obrany.

W tym czasie minister heski Barkhaus, którego Bojanus leczył, zamyślając o założeniu w księstwie szkoły weterynaryi, wybrał go na przyszłego jéj dyrektora, i Bojanus kosztem rządu, za panowania Ludwika I Landgrafa Hessen-Darmsztackiego, wyjechał do obcych krajów, dla doskonalenia się w téj nauce. Przez trzy niemal lata (1801-1803) podróżując, bawił w Alforcie, Paryżu i Lugdunie. W szkole alforckiéj pod dyrekcyą Henon'a wówczas zostającéj, zaczął się przykładać do wszystkich gałęzi weterynaryi i zabrał ścisłą przyjaźń z professorem tamecznym Fromage de Feugry, który szczególném losu zdarzeniem, w bliskości poźniejszéj siedziby przyjaciela, w czasie odwrotu wojsk francuzkich (1812 roku) jako naczelny weterynarz wojska *(véterinaire en chef)* pod Wilnem w nędzy życie zakończył. Pobyt w Paryżu poświęcał Bo-

janus rozmaitym zatrudnieniém naukowym, mocno zwrócił uwagę na lekcye i zbiór anatomii porównawczéj Cuvier'a, i tamże, z piérwszą niemal pracą literacką, wystąpił, ogłaszając nieznany wówczas we Francyi i w ogóle nowy systemat Gall'a, który jeszcze nauki swéj na jaw nie był wydał, ale jéj ustnie tylko Bojanus'owi w Wiédniu udzielił. Gall bowiem aż w roku 1805 w czasie swojéj podróży systemat swój doskonalił, a w r. 1808 w Paryżu wykładać go zaczął. Czytana roku 1801 przez Bojanusa na posiedzeniu towarzystwa lekarskiego w Paryżu rozprawa: *Annonce d'un systeme de physionomie basé sur l'anatomie comparée du cerveau*, do któréj przyłączone były rysunki czaszek rozmaitych źwierząt, mimo wiedzę autora, została oddana w rękopismie pod rozbiór Chaussier'a, Giraud'a i Duval'a, którzy nie zgłębiwszy dosyć systematu, jak to zazwyczaj bywa z nowémi odkryciami, zbyt surowe dali zdanie. (*Recueil périodique* N. LVIII. 1802 Paris.) Na to Bojanus odpowiedział w swojéj i Gall'a o-

bronie, a razem drukiem ogłosił rozprawkę pod napisem: *Encephalocranioscopie*, w któréj wyłożył systemat Galla, pomnożywszy go własnémi uwagami (Millins *Magazin encyclop. 8 année T. I. p. 445 avec 2 tables*) (*). Towarzystwo lekarskie i postrzegaczów człowieka w Paryżu, przybrało go w Kwietniu 1802 roku na swego członka.

Z Paryża udał się do Londynu, gdzie przez półrocze (1802) korzystał z nauki Moorcroft'a i Coleman'a i został członkiem tamecznego lekarskiego towarzystwa. Bawił potém w Hanowerze, gdzie natenczas szkole weterynarnéj przewodniczyli Haveman i Kersting. Z korrespondencyi piérwszego z ojcem weterynarzów niemieckich Wolstein'em, w roku 1803 w Altonie spokojnie osiadłym (a umieszczonéj w dzienniku *Isis* 1829 H. IX) okazuje się, że ci twórcy weterynaryi, zawczasu talent Bojanusa do anatomii ocenić potra-

---

(*) Delametherie. *Journal de Physique 1802. 4. T. LV. p. 198 avec I. pl.*

fili. Wtedy już bowiem odkrył Bojanus niedostatek żyły Aranta (*ductus venosus Arantii*) w wątrobie płodu końskiego; a całą zimę 1803 roku w Hanowerze anatomii weterynarnéj poświęciwszy, zrobił tam z preparatu Kersting'a (który w roku 1831 widziałem zachowany) różnokolorowy rysunek wszystkich powierzchowniejszych muskułów konia, oznaczonych nazwaniami trafnie do anatomii ludzkiéj odnoszącémi się i tym sposobem piérwszy krok do myologii porównawczéj uczynił.

W dalszéj podróży zwiedzał szkoły weterynaryi w Wiédniu, Berlinie, Dreznie i Kopenhadze, przypatrując się razem różnym stadóm koni i owczarnióm. W Wiédniu korzystał z ducha postrzegawczego i doświadczenia w weterynaryi Waldinger'a, z głębokiéj nauki Fechnera i z genjuszu młodego Pessiny, z którym jeździł do Węgier, dla poznania wielkich stad tamecznych; w pomienionéj stolicy zaprzyjaźnił się z uczonym mineralogiem, poźniéj swoim kollegą, Symonowiczém, który go

Uniwersytetowi wileńskiemu zalecał, tamże nakoniec pojął za żonę pannę Wilhelminę Roose, córkę pastora kopenhagskiego.

Za powrotem do Darmsztatu otrzymał w roku 1803 Października 13, jako członek rady lekarskiéj, tytuł medycznego radźcy (*Medizinalrath*); wszakże myśl założenia w kraju darmsztackim szkoły weterynarskiéj, z powodu śmierci Barkhaus'a, rozchwiała się, a tymczasem w gazetach literackich, pod koniec tegoż roku rozeszły się programmata konkursowe do wakujących katedr w nowo-przekształconym i świetnym uniwersytecie wileńskim. Zachęcony tém Bojanus, pisał do Wilna (29 Kwietnia 1804) z Darmsztatu, podając się na kandydata do katedry weterynaryi i przesyłając zarazem rozprawę w języku niemieckim, zawiérającą ogólny rozbiór téj nauki (*Über die Thierarzneykunst*). Pismo to oddane zostało, za rektorstwa biskupa Strojnowskiego, do przejrzenia komitetowi z professorów Lobenwejn'a, Szpitznagl'a, Becu i Jundziłła. Przedmiot nowy i

niedostatek uczonych, poświęcających się téj gałęzi, uczynił odezwę Bojanus'a nader pożądaną, a gdy po jedénastu miesiącach od ogłoszenia konkursu, rada uniwersytetu (13 Czerwca 1804) przystąpiła do wyboru kandydatów, Bojanus wybrany został i potwierdzony 8 Sierpnia, jako professor weterynaryi, z dwóma dodatkowémi kursami, to jest, dozoru kliniki weterynarskiéj i wykładu anatomii porównawczéj. Znalazło się wprawdzie poźniéj dwóch jeszcze kandydatów: Riem z Lipska i Pozzi z Medyolanu, którzy swe dzieła weterynarskie przysłali do uniwersytetu, lecz ubieganie się ich było próżne, jako spoźnione. Otrzymanie uwolnienia ze służby darmsztąckiéj i ówczesne (1804—1805) polityczne wypadki, nie dały Bojanus'owi zaraz wyjechać do Wilna, a tymczasem ogłosił kilka pism. Jakoż w roku 1805 wydał dziełko: *O kuciu koni, podług zasad Kolmana* (Coleman's. Grundsätze des Hufbeschlag's. Giessen. 1805. m. 6. kf.), wyłożonych w języku angielskim, zbyt obszérnie i zawile, a przez Bojanus'a

treściwie i krytycznie zebranych, oraz własnoręcznym rysunkiem objaśnionych. Przekonany o ówczesnych niedostatkach w instrukcyi weterynaryi, napisał poźniéj dziełko: *O celu i urządzeniu szkół weterynarskich* (über den Zweck u. d. Organisation der Thierarzneyschulen. Frankf. a. M. 1805), poświęcone Cesarzowi Alexandrowi I, od którego za to otrzymał (4 Paźdz. 1806) pierścień brylantowy. Dziełko to zwróciło na się uwagę uczonych, z powodu śmiałego zdań nowych wykładu. W napisaniu jego korzystał Bojanus z myśli sławnego lekarza Reil'a, tyczących się założenia osobnych szkół dla cyrulików; a jako wszelka nowość naukowa, tak i pismo Bojanus'a wielu stronników i przeciwników znalazło. Między ostatnimi najzaciętszym okazał się Jan Piotr Frank, który należał do rzędu uczonych, chcących kształcić praktycznych weterynarzy, posiadających razem filozofiją i medycynę ludzką: Bojanus bowiem zalecał, w swojém dziełku, samych empiryków. W takich okolicznościach, może naj-

lepsza byłaby śrzednia droga, któréj się i teraźniejsza Cesarska Akademija Medyko-Chirurgiczna wileńska, na równi z podobnemiż zakładami Państwa, trzyma, to jest stosowne obeznanie się uczniów z niektóremi przygotowawczémi naukami i podział ich na dwa rzędy. Ostatnią Bojanus'a pracą, przed wyjazdem do Wilna, była rosprawa *O stanie weterynaryi i jéj postępie w przeciągu lat 15* (1790—1805), *mianowicie pod względem literatury* (Kritische Uebersicht der Fortschritte der Thierarzneykunde). Rosprawka ta napisana na prośbę professora Sternberg, wydawcy gazety literackiéj (*Litteraturzeitung für Medizin u. Chirurgie. 1805. Marburg. 5 Heft.*), może się dotychczas za wzorową uważać, i pozostanie dowodem, jak gruntownie pojętą naukę Bojanus z sobą, że tak rzekę, przywoził do Litwy. Weterynarya bowiem za owych czasów mało była znaną w tym kraju. Prace sławnych nauczycieli, Gilibert'a (od roku 1775 w Grodnie, a w 1781—1783 w Wilnie) i X. Jundziłła

w Wilnie, ubocznie tylko przedmiotu tego dotykały, lubo ci obaj uczeni mężowie umieli wartość jego oceniać.

Przybył nakoniec w Maju 1806 r. do Wilna Bojanus, i 1 Czerwca na powszechném zgromadzeniu professorów uniwersytetu, starodawnym obrzędem, na wierne sprawowanie obowiązków nauczycielskich dał zaręczenie (*manum stipulatam*) rektorowi Hieronimowi hr. Strojnowskiemu, który i wówczas, jak uprzejmy gospodarz, umiał pozyskać serce nowego przybysza dla świeżo odnowionego nauk zakładu; i potém kiedy uniwersytecką togę na fiolet biskupa wileńskiego zamienił, statecznéj dlań życzliwości dochował.

Wkrótce po przybyciu swojém ułożył Bojanus wstępny projekt obszérnego wykładania przedmiotu swego na rok 180$\frac{7}{8}$, dla uczniów medycyny, przez ciąg *dwuletniego* kursu, czemu jednak stanął na przeszkodzie kurs medycyny, zrazu sześcioletni, na lat tylko pięć poźniéj rozłożony. Weterynarya przeznaczona zpoczątku przez

Jana P. Franka dla uczniów klassy piątéj i szóstéj, przeniesiona została, przez ówczesnego dziekana oddziału nauk lekarskich J. A. Lobenwejn'a, do klassy czwartéj medycyny. Po tych układach Bojanus oddał się zupełnie lekcyóm, które rozpoczął czytaniem na posiedzeniu publiczném uniwersytetu 15 Września 1806 rosprawy: *O doskonaleniu i nauczaniu Weterynaryi (De veterinaria medicina excolenda ejusque disciplina rite ordinanda)*, i odtąd ciągle wykładał tę naukę, cztéry razy na tydzień po półtoréj godziny, rozbiérając po szczególe wszystkie jéj części, a nad anatomiczną najobszérniej się zastanawiając, sam potrzebne ku temu preparata sporządzał, i trafnym od ręki rysunkiem krédowym wybornie objaśniał. Towarzystwo miejscowe lekarskie obrało go zaraz swoim członkiem (16 Października 1806), a znając jego talent rysunkowy, powierzyło mu układ swojéj pieczęci, mającéj służyć za godło towarzystwa, i stosownéj do wydawania patentów. O tymże czasie dał w ofierze dla uniwersytetu

liczną swoję bibliotekę weterynarską, świéżo zza granicy sprowadzoną (19 Paźdz. 1806), jakowy dar z wdzięcznością został przyjęty. Po wojnie pruskiéj (1807 r.) uczestniczył Bojanus w dozorze lekarskim szpitalów wojskowych, i za gorliwe pełnienie tego obowiązku otrzymał od Cesarza Alexandra pierścień brylantowy (4 Marca 1808). Zbyt częste wówczas choroby piersiowe u żołnierzy zastanowiły uwagę Bojanus'a. Upatrując ich przyczynę w szkodliwém uciskaniu ścian piersiowych przez rzemienie rańców nie zastosowanych do budowy kadłuba piersiowego, a utrzymujących znaczne ciężary, zamyślał o zrobieniu rańców, któreby budowie grzbietu i piersi odpowiadając, obu tych części nie uciskały, i w którychby ciśnienie ciężaru działało na pacierze lędźwiowe, jako na części ciała, ze względu swéj budowy, położenia i analogii z bydlętami jucznemi, najstosowniejsze do dźwigania ciężarów. Piękna ta myśl wykonana została istotnie w roku 1821, w czasie bytności

w Wilnie szczęśliwie panującego teraz Cesarza MIKOŁAJA.

Obok wykładu lekcyj, nie tracił Bojanus z oka potrzeby urządzenia zakładu praktycznego Weterynaryi, i w tym celu miał ku pomocy w roku 1810 weterynarza Owander (*Auvander*), poźniéj Stefana Druja (*Steven Drew*), a nakoniec Zejc'a (*Seitz*) ucznia szkoły wiédeńskiéj, który w roku 1812 z Węgier do Wilna przybył i doskonałą znajomością kucia koni wielką miastu czynił przysługę. Kilkakroć jednak projektowana przez Bojanus'a szkoła Weterynaryi, nie mogła przyjśdź do skutku, dla braku professorów, naukę i język krajowy razem posiadających.

W roku 1810 Towarzystwo badaczów przyrodzenia w Moskwie (15 Stycznia) i Akademija Medyko-Chirurgiczna w Petersburgu (1 Lutego) przybrały go za członka. W tymże roku, z powodu często od niego zasięganych rad przez wileńskiego Wojennego Gubernatora, napisał po niemiecku traktat: *O ważniejszych zarazach bydła ro-*

gatego i koni (Anleitung zur Kenntniss und Behandlung der wichtigsten Seuchen unter dem Rindvieh u. Pferden. Riga. 1810 — 2te Aufl. Wilna u. Leipzig. 1820. — 3te Aufl. Leipz. 1830) własnym ogłosił kosztem i powiatowym lekarzóm rozesłał, potém niebawnie na język polski przełożył i przedstawił Ministrowi Oświecenia, jako cząstkę całego systematu śrzodków mających się przedsięwziąć dla przyprowadzenia Weterynaryi do stanu kwitnącego, za co w roku 1811 Sierpnia 26 otrzymał order Sgo Włodzimirza 4go stopnia. Pomienione dziełko wkrótce się tak upowszechniło w kraju i za granicą, iż po jego wyczerpaniu z handlu, autor ogłosił drugie pomnożone wydanie, za elementarne po wielu zakładach przyjęte. Praca ta zaleca się dostępnym dla każdego wykładem rzeczy, krótkością i dokładnością opisów; zawiéra postrzeżenia o powietrzu bydlęcém, o chorobach karbunkułowych, o zarazie płuc, pyska i kopyt, nakoniec tablicę porównawczą tych chorób i zbiór stosownych recept.

Podobnie w roku 1810 ogłosił B o j a n u s myśl swoję o *możności zupełnego zniszczenia zarodka powietrza bydlęcego*, z powodu zagadnienia podanego w roku 1808 przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie. (*Über die Ausrottung der Rindviehpest. in Oekonom. Repertor. f. Liefland. 6. B. 1811.*)

Oddaliwszy się podczas wojny 1812 r. do Petersburga, zajmował się rozbiorem anatomicznym płodowych błon u psów i królików, wyjaśnił zawiłą budowę błony zwanéj *allantois* (*De foetus canini velamentis*, ob. *Memoires de l'acad. Imper. d. scien. d. St. Petersb. T. V. 1815. — Üb. d. Hundsfoetus. Isis B. III. p. 1616. — Observatio anat. de foetu canino...* ob. *Nov. Acta Acad. Caes. Leop. Car. Nat. cur. T.* X. *pars I.*) i został tamecznéj Akademii Nauk i Filantropii Towarzystwa członkiem (r. 1814). Zabrał także ścisłą przyjaźń z naczelnym w téj stolicy lekarzem R e h m a n. Gdy wrócił do Wilna, przyprowadził do skutku oddawna powzięty chwa-

lebny swój zamiar, osobnego, oprócz weterynaryi, wykładania w uniwersytecie *Anatomii porównawczéj*, pieczołowitością o postęp nauk Ministra hr. Razumowskiego. Nowy ten przedmiot 21 Paźdz. 1814 roku Bojanus zagaił publicznie, bardzo treściwym *wstępem (Introductio in anatom. compar. Vilnae 1815.)*, w którym porównał narzędzia i czynności (*organa et functiones*) wszystkich klass i rodzajów istot organicznych, poczynając od roślin i postępując aż do człowieka, dla pokazania naturalnego związku i szczeblów przyrodzonych, prowadzących od najprostszéj do coraz zawilszéj i doskonalszéj budowy. Wykładał tę piękną naukę w rocznym kursie dodatkowym dla uczniów 2iéj klassy medycyny. Odtąd poczyna się nowa jakby epoka w pracach tego męża, przez połączenie wykładu weterynaryi z wykładem nowéj nauki, w któréj już był oddawna zamiłował. Gdy w roku 1815 nowozbudowany gmach teatru anatomicznego i szkoły weterynaryi uroczyście był otwiérany, Bojanus czytał rosprawę

o przyczynach znikczemnienia dobrych gatunków koni (Des principales causes de la dégeneration d. races d. chevaux. Vilna. 1815.), w któréj dowiódł, że unikanie pokrewieństwa i tak zwane krzyżowanie ras, przyczyniły się do znikczemnienia stad koni, i że głównym śrzodkiem ich ulepszenia, jest trzymanie się zdania Aristotelesa i Arabów, przeciwnego zupełnie prawidłóm, przez sławnego Buffona podanym; pokazał oraz, że stada kraju naszego w takim są stanie, iż jeśli się od wpływu angielskich stadników nie otrząsną, koniecznie znikczemnieć będą musiały. Wkrótce potém, za przedmiot ściślejszych badań zootomicznych, obrał owcę, która mu tyle ważnych i pięknych postrzeżeń dostarczyła, iżby między znanémi dotąd monografijami zootomicznémi, piérwsze zapewne otrzymała miejsce, gdyby zbyt znaczna liczba tablic i niedostatek potrzebnych nakładów nie odstraszyły autora i nie zmusiły go do ukrycia przed światem najpiękniejszych 600 własnoręcznych rysunków i stosownego textu. Ogłoszenie tego

dzieła postawiłoby anatomiją owcy, nieoszacowanego zkądinąd źwierzęcia, obok anatomii ludzkiéj, doprowadzonéj do takiego stopnia doskonałości, iż do niéj, w naszych czasach, mało co dodadź pozostaje. Nie tracę jednak nadziei, aby skarb ten anatomii, w ręku lekarza Eigenbrodt, młodszego siostrzeńca Bojanusa pozostały, nie był należycie oceniony. Obok tych śledzeń pracował Bojanus nad poznaniem budowy mozgu, i z największym zapałem tę część newrologii, w sposób porównawczy, wykładał na lekcyach weterynaryi, nie tylko na własnych rysunkach, lecz i na świéżych preparatach, tak, iż powiedzieć można, że odtąd zakwitła w uniwersytecie wileńskim anatomija tego szlachetnego organu, który nie przestawał zajmować uwagi naszego anatomika, jak tego dowodzą i dawniejsze jego z Gallem związki i poźniejsza korrespondencya ze sławnym paryzkim lekarzem Serres. W dalszém rozwinieniu swoich badań trudnił się delikatniejszémi rozbiorami źwierząt klass niższych, miano-

wicie rozbiorem pijawek (*Isis 1817. p. 2089. Balbiani Diss. inaug. Viln. 1816*), robaków trzewnych (*Isis 1818. p. 679. 1821. p. 162, 305*), ryb, szczególnie oznaczeniem kosteczek czaszki tych ostatnich (*ib. 1818. B. II. u. V. p. 1360. Memoir. d. soc. d. natur. d. Moscou. 1818. T. V.*), budową błon płodowych u konia, owcy i innych źwierząt (*Isis 1818. p. 1623. 1822. p. 1228*); pokazał wyraźne połączenie pęcherzyka pępkowego (*vesicula umbilicalis*) z kiszkami u płodu owiec (*Meckel. Archiv. B. IV. p. 34.*), i szczególny kierunek nerwu bębenkowego u cieląt (*Russ. Samml. f. Natur- u. Heilk. B. 2. H. 4. Isis 1818. p. 1425*). Z powodu pisma swego o narzędziach oddechu i krążenia krwi w muszlach dwuskorupowych (*Isis 1819. B. IV. H. I.*) wszczął był uczoną polemikę z professorem paryzkim Blainville, tłumaczem i kommentatorem pomienionego pisma (*Journal d. physique. T. 89. A. — Isis 1820. H. VII. 1822. p. 1128.*), a poźniéj w tejże materyi ze sławnym anatomikiem

Treviranus (*Isis 1826. B. XX.*). Wszakże te wszystkie zatrudnienia nie zadowolniały badawczego umysłu Bojanus'a; zamyślał zawsze o wielkiéj pracy zootomicznéj, szczególnie o rozbiorze płazów, dla docieczenia prawd fizyologicznych, opartych na budowie téj szczególnéj klassy zwierząt, i w tym celu obrał żółwia pospolitego (*Emys europaea*). Mając to na widoku, już w miesiącach wakacyjnych 1816 roku, gdy swoich krewnych w Darmsztacie odwiedzał, upatrzył tam dla siebie sztycharza Fryderyka Lehman'a, teraz przy uniwersytecie królewieckim zostającego, którego w 1818 r. do Wilna sprowadził, i z którym w roku 1819 dobrą prassę sztycharską dla uniwersytetu urządził, opisawszy przedtém jeszcze prassę litograficzną (*Wykład sztuki litograficznéj, z franc. Wilno 1817. 8.*). Wypracowana i ogłoszona anatomija żółwia (*Anatome testudinis europaeae. Viln. P. I. 1819. fol. 18 Tab. P. II. 1821. 31 Tab.*) nagrodziła stratę, którą świat uczony poniósł z powodu zagrzebanéj anatomii owcy.

Przypatrzmy się tej jedynej w swym rodzaju monografii, na której wydanie poświęcił autor skrzętnie zebranych 5,000 rubli srebrnych, której wypracowanie zdrowiem przypłacił: całe bowiem dzieło w przeciągu lat trzech wykończył, rozebrawszy 500 żółwi z wrodzoną sobie zręcznością i ścisłością anatomiczną. Z żalem atoli wspomnieć mi przychodzi, iż ta praca nie jest zupełnie ukończoną: obejmuje bowiem jednę tylko anatomiją, gdy tymczasem, stosownie do wielkich zamiarów autora, nie została wypracowaną fizyologija tego przedmiotu, ani jego część porównawcza. Jednakowoż ze zwięzłego opisu samych rycin, pokazuje się: iż Bojanus piérwszy nie tylko poznał szczególne krążenie krwi przez żyły brzuchowe w żółwiu, przed ogłoszonym (1823) programmatem Jacobson'a w Kiel, względem odkrycia szczególnego systematu żylnego; lecz nadto piękne i użyteczne uczynił wnioski, zastosowane do medycyny ludzkiéj, (jak się o tém każdy przekonać może na stronicy 124, 129 i 143 po-

mienionego dzieła). Jeżeli zaś zwrócimy uwagę na opis naczyń limfatycznych żółwia (str. 143), postrzeżemy, iż wyobrażenie professora Magendie, w Paryżu, o systemacie limfatycznym płazów, było mylne. Zresztą, kto tylko bliżéj rozebrać zechce dzieło Bojanus'a o żółwiu, znajdzie w niém zgłębienie osteologii porównawczéj w trafnym podziale czaszki na cztéry osobne jakby pacierze (str. 43.); wytłumaczoną funkcyą oddychania, stwierdzoną doświadczeniami (str. 85.); korzystne dla nauki porównanie części płciowych samczych z témiż częściami u innych źwierząt i ludzi (str. 169.) i t. p. odkrycia; a przyłączony na końcu dzieła dodatek, osobno także dla korzyści uczniów ogłoszony (*Parergon ad Bojani anatomen testudinis, cranii vertebrat. animal. comparationem faciens. Vilnae. 1821. 4. c. tab.*), jakiegoż anatomika nie zajmie? Tu bowiem najbardziéj wyświéca się budowa czaszek wszystkich źwierząt pacierzowych i odkrywają się głębokie anatomiczne wiadomości autora. Nakoniec dzieło

to odznacza się czystością i poprawnością rycin i pięknością druku, z których piérwsze wypracował wspomniony sztycharz Lehman, a drugą opatrzył wileński typograf P. Zawadzki. Powiedziałem o tém dziele nieco obszérniéj, dla wskazania, że genjusz Bojanus'a umiał korzystać ze zwyczajnych i podręcznych jakby płodów przyrodzenia, i że potrafił, w miejscu, rzadkości organicznych niemal pozbawioném, utworzyć z pospolitego żółwia przedmiot zwracający uwagę wszystkich uczonych, o którym sławny Cuvier powiedział: «*Je le trouve admirable, aucun animal ne sera mieux connue que celui-la.*» Dodam tylko jeszcze, iż Bojanus, pomny zawsze na względy łaskawe W. książęcia Heskiego, w młodości doznane, przesłał dzieło razem ze skeletem najpiękniejszym wielkiego żółwia z Wilna do Darmsztatu, z témi wyrazy: «*Scilicet pietati et desiderio nunquam explebili tantum indulgere atque laboris nostri, sub remoto coelo suscepti, hoc qualecunque documentum in patriae*

sinum admittere, placitum est.» (Anat. test. p. 8).

Po skończeniu téj wielkiéj pracy zajął się Bojanus śledzeniem kości kopalnych, do czego mu posłużył dawniejszy zbiór uniwersytecki i gorliwość niektórych nauczycieli po szkołach wydziału naukowego wileńskiego. Sławny Czacki przysłał niektóre kości z Wołynia, P. Witakowski udzielił kości całego prawie mamuta, o 3 mile od Mozyrza znalezionego; podobnież szkoła drohiczyńska i t. d. Z różnych stron znoszono mu materyały do poznania zaginionego świata organicznego (*De merycotherii sybirici.. dentibus. Comment. in N. Act. Ac. Leopold. 1824 XII. — Mém. d. natur. d. Moscou. 1817. V.* tož: *Vilnae 4. 1823*) jak tego pamięć uchował litewski poeta:

Niech się nie trwoży żmudne latopismo świata,
Z warst ziemi, jak ze zmarszczków, policzysz jéj lata.
A gdy w czasie lub czynach zdarzy się zagadka,
Poradzisz się mamuta, naocznego świadka.
Zbudzisz na skamieniałym uśpionego cedrze,
W imie Bojana wstanie i paszczę rozedrze....

Rzadki i naszéj krainie tylko właściwy zubr, nie uszedł też uwagi Bojanus'a. Za jego staraniem gabinet weterynaryi zbogacił się piérwszym tego źwierza skeletem, nad którym porównawcze czynił postrzeżenia. Wprawdzie już Gilibert w Grodnie (1777) poźniéj Ozereczkowski w Petersburgu (1810) daléj Volborth (1826) i Volkman (1831), w Niemczech opisywali skelet żubra, ale doskonalszą nad wszystkie jest rozprawa i rysunek przez naszego anatomika wypracowane i po jego śmierci ogłoszone. (*De uro nostrate N. Act. Leop. T. XIII. P. II. 1827 p. 411*).

Od roku 1822 zajął się Bojanus, z polecenia Uniwersytetu, kształceniem trzech młodych lekarzy, na przyszłych professorów zoologii, zootomii i weterynaryi, przewodniczył im w dyssekcyach zootomicznych i weterynaryjnych, przez lat trzy z nimi dni i nocy przepędzał, doskonaląc publicznie i prywatnie każdego z nich w swoim przedmiocie. W téj to właśnie porze wyłożył dla korzyści tychże lekarzy, na wstępie lekcyj pu-

blicznych anatomii porównawczéj, anatomiją roślin, poźniéj rozebrał i opisał więzy nadkopytowe u koni, (*Über die Fersenbänder am Hufe. Isis 1825 B. XVI p. 755*) porównał czaszki źwierząt rodzaju owczego, i odkrył u źrzebiąt kły (*Adversaria ad dentitionem equini generis. N. Act. Leopold. 1825 P. II.*) postrzeżone tylko przez Camper'a u zebry.

Z uczniów pod nim sposobiących się jeden Fortunat Jurewicz w roku 1822 powtarzał publicznie, w języku polskim, lekcye anatomii porównawczéj, a od roku 1823 do 1826, w którym go śmierć przedwcześna zaskoczyła, wykładał pod jego przewodnictwem nowy, w szkole głównéj wileńskiéj, kurs zoologii, opartéj na zasadach anatomii porównawczéj. Za pomocą dwóch drugich (. . . i Karola Muyschel'a) ujrzał Bojanus 15 Września 1823 r. zupełnie ziszczony swój dawny projekt założenia szkoły weterynaryi, w któréj się wszystkie gałęzie téj obszérnéj i ważnéj nauki, teorycznie i praktycznie, w języku krajowym wykładać poczęły.

W miarę tak się szérzących prac naukowych wzrastały i potrzebne do nich gabinety, których Bojanus w Wilnie był twórcą. Sam on zrazu musiał się zajmować robotą preparatów zootomicznych, poźniéj (w 1809 roku) miał do pomocy lekarzy Kirbacha, a następnie Nahumowicza, tak, iż w r. 1810 liczba preparatów 160 sztuk wynosiła. Pod koniec 1813 roku zaczął usposabiać dla siebie na prozektora, lekarza Henryka Laupman'a, a odtąd zbiór zootomiczny olbrzymim postępował krokiem: albowiem w r. 1814 w ledwie ukończonéj budowie anatomicznego teatru stanęło sztuk 301, w 1815 roku sztuk 433, w 1816 roku 700, w 1818 roku 800, w 1823 sztuk 1653, między którémi było samych robaków trzewnych sztuk 144, których zbiorem piérwszy Bojanus w Rossyi się zajmował.

W roku 1820, zachęcony przez Zwierzchność, Bojanus zajął się jeszcze pomnożeniem gabinetu zoologicznego, którego zasadę stanowiły zbiory professorów Forstera, Giliberta i Jundziłła, tudzież liczne

dary Hr. Walickiego; sam się trudnił nabywaniem i wypychaniem źwierząt, i w r. 1823 patrzał już na połączone, w jednym gmachu, gabinety zoologiczny i zootomiczny, zdolne mnożyć światło nauki a bogacące Wilno nowym powszechnéj ciekawości przedmiotem. *Si monumentum quaeris, circumspice!*

Nie godzi się, w obrazie czynności naukowych Bojanusa, nie przypomnieć niektórych jego myśli i odkryć mało znanych lub wcale nieogłoszonych. I tak, za przykładem Camper'a, który w r. 1784 zwrócił uwagę na obuwie nasze, Bojanus zastanawiał się nad naszym strojem, zalecając wschodnie ubiory, a na wszelkie mody nastając (*Über eine vaterländische Kleidung der Deutschen 1814, MS.*) Już w roku 1809 wzmiankował (w dzienniku sztuki położniczéj Siebold'a) o tworzeniu się w jaju płodowém kobiécém, tak zwanéj błony doczesnéj i doczesnéj zawróconéj (*membrana decidua et decidua reflexa*), ale wyraźnie się o tém poźniej wytłumaczył, (*Isis 1821 B. VIII.*) dowodząc, że błona doczesna tworzy się

przez zaognienie ściany wewnętrznéj (*uteri*), przed wejściem doń jaja płodowego, które, poźniéj wchodząc, wpycha przed sobą pomienioną błonę w kształcie worka *ad uterum* i stanowi błonę doczesną zawróconą. Wprawdzie już Burns i Monro przed Bojanus'em wpadali na myśl o wpychaniu się błony doczesnéj; lecz Bojanus piérwszy to rysunkiem objaśnił, co poźniéj Seiler, Burdach i Bock przyjęli. Wolna zaś część jaja płodowego i u góry wystająca, pokrywa się, zdaniem naszego anatomika, nowo tworzącą się błonką naczyńkowatą, właśnie w tém miejscu, gdzie jest otwór prowadzący *ad tubam Fallopii*: a ta błonka ma stanowić tak zwaną *błonę doczesną poźniejszą* (*membrana decidua serotina*), gdzie się łożysko (*placenta*) tworzy. Téj dowcipnéj teoryi przeciwny jest sławny Oken, (z którym osobiście o tém mówiłem), dowodząc, że cała błona doczesna stanowi tylko zwolnioną i przez czas pewien jakby odłączoną błonę wewnętrzną *ad uterum* należącą, i że doczesna poźniejsza powstaje

z zatrzymanéj i skrzepłéj krwi menstrualnéj w piérwszym miesiącu brzemienności (*Isis 1827 p. 371*). Velpeau zaś wcale nie przyjmuje téj błony za osobną. Nadto dowiódł Bojanus przed Breschet'em, Velpeau i innymi, że błona naczyńkowa jaja płodowego (*chorion*) składa się z dwóch jakby błon osobnych; przyjmował w połączeniu żeber z pacierzami ruch obrotny (*ginglymus*); dowodził, na własnych doświadczeniach oparty, iż strzałka kopyta końskiego, powinna bydź oddalona od ziemi o $\frac{1}{3}$ cala; zachęcał, na lekcyach swoich weterynaryi, wszystkich obywateli litewskich do oswajania łosi, dla użycia ich do pociągu; skłonnym był do przyjęcia piérwotnéj rozmaitości ras, w każdym rodzaju źwierząt od ich stworzenia i wielą innych oryginalnych pomysłów wykłady swoje wzbogacał.

Wyliczone prace uczonego męża nie zostawały bez plonu zaszczytów w kraju i za granicą zbiéranych. Jakoż w 1816 (Kwietnia 18) zaszczycony został rangą Radcy Kollegialnego, a w roku 1821 (Sierpnia 8)

Radcy Stanu, w r. 1819 (Grudnia 1) otrzymał order św. Anny 2go stopnia; w Marcu 1818 roku odebrał z Berlina zaszczytne wezwanie na piérwszego w tamecznéj szkole professora weterynaryi, lecz wezwania nie przyjął; w tymże roku (28 Listopada) wybrała Bojanus'a na swojego członka Akademija Leopolda Karola w Bonn (teraz we Wrocławiu) z przydomkiem Piotr Camper, ze wszech względów, najsłuszniéj mu nadanym; poźniéj (21 Grudnia) królewskie towarzystwo w Kopenhadze do wydoskonalenia weterynaryi; towarzystwo wernerjańskie historyi naturalnéj w Edymburgu, akademija nauk królewska w Sztokolmie (1821), towarzystwo medyczno-chirurgiczne w Berlinie i gospodarstwa wiejskiego w Moskwie (1824) policzyły go do gron swoich. Otaczały go też uwielbiénie uczniów, szacunek zgromadzenia do którego należał i źwierzchności, pod którą najbliżéj zostawał. Uniwersytet wileński, po śmierci zasłużonego professora anatomii ludzkiéj Lobenwejn'a (1820), znając biegłość Boja-

nus'a i w téj nauce, gotów mu był tę katedrę powierzyć; lecz okoliczność pewna, ubliżająca przyjaźni jego ku zmarłemu koledze, któremu razem z poźniejszym professorem anatomii i chirurgii poświęcił daninę łez wdzięcznych, oraz zbieg innych zawad nie dozwoliły przyjśdź do skutku zagajonym o to układóm. Podobnież wymówił się Bojanus od powierzanych mu przez Kuratora wileńskiego naukowego wydziału w 1822 r., obowiązków Rektora Uniwersytetu. Dowody te zaufania były też zasłużone, kochał albowiem Bojanus i kraj, do którego się przeniósł i sławę szkoły, w któréj był założycielem swéj nauki. W licznych zdarzeniach przywiązanie to okazał dowodnie, gorliwie pełniąc stanowcze polecenia. W roku 1816 wybrany stałym członkiem komitetu do glądającego zbiérania postrzeżeń naukowych po szkołach okręgu wileńskiego, ułożył projekt stosownych instrukcyj: w roku 1818 zebrał, z byłym professorem matematyki Niemczewskim, silne dowody do poparcia czynionego wówczas wyższym władzóm

przełożenia, o przyśpieszeniu rozdawnictwa stopni uczonych, które wówczas było w Uniwersytecie wstrzymane; w roku 1820 zagaił rzecz o urządzeniu drukarni i xięgarni przy uniwersytecie, a poźniéj nieco w 1821 roku wezwany został do redagowania projektu względem układu książek elementarnych. Lecz najważniejszą pamiątką troskliwości Bojanus'a o sławę szkoły głównéj wileńskiéj, pozostanie wniosek jego w 1820 r. podany, o potrzebie komitetu dla zastanowienia się nad dopełnieniem kursów i nad nowym planem wszystkich nauk w Uniwersytecie wykładanych: gdyż dawny 1803 roku zaprowadzony okazywał się niedogodnym; rozwinął wtedy swoje obszérne, ogółu umiejętności ludzkich tyczące się myśli, oraz otworzył rozległe na przyszłość widoki.

Kommissya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego, w królestwie polskiém, postanowiwszy założyć w Marymoncie pod Warszawą główny Instytut weterynaryi, a chcąc, przy jego urządzeniu korzystać z doświadczeń gdzieindziéj w podobnym

zakładzie, zebranych, uznała za rzecz potrzebną zasięgnąć w téj mierze światłego zdania i rady Bojanus'a, upraszając go 1820 roku o podanie swoich myśli. Życzeniem kommissyi było, aby przyszły Instytut sposobił nietylko lekarzy wszystkich źwierząt domowych, ale nadto podawał wzór i sposoby hodowania, oraz polepszania gatunków tychże źwierząt. Bojanus zaraz napisał, w języku francuzkim, i przesłał plan organizacyi, podług którego zalecał zakład cały podzielić na trzy osobne, równie dla ogółu umiejętności, jako też instrukcyi weterynarzy potrzebne, a mianowicie: 1) osobne katedry dobrze uposażone przy Uniwersytetach lub akademijach, 2) praktyczne szkoły weterynaryi, 3) osobny zakład dla robienia doświadczeń naukowych, w celu rozszérzenia obrębu całéj umiejętności i zastosowania jéj do medycyny ludzkiéj. Po uniwersytetach i akademijach stosownie do powyższego planu, miała się kształcić młodzież medycynie ludzkiéj poświęcona, w szkołach właściwi weterynarze, a równie w szkołach

jako też w zakładach doświadczeń naukowych, mieli się sposobić na professorów weterynaryi zdatni młodzieńcy. Kommissya plan takowy przyjmując z zadowoleniem, przesłała (1822 Marca 21) autorowi na zawdzięczenie medal, bity na pamiątkę założenia warszawskiego Uniwersytetu.

Tu się, niestety! rozstać musimy z obrazem czynnego nauce i poczciwéj sławie poświęconego żywota. Ciągłe prace wątliły zdrowie Bojanus'a, już w roku 1822, musiał przerwać pomnażanie ulubionych mu gabinetów; zaczynał czuć, że po 16-letniéj służbie siły nie odpowiadały jego chęciom, że coraz bardziéj zapadał na cierpienia płucowe, do których się przyłączył wrzód, między prawą łopatką a grzbietowémi pacierzami, mający z płucami związek. Głębokie rozcięcie wrzodu i inne dolegliwości cierpliwie znosił, i dnia jednego taką uczuł duszność, iż się spokojnie na śmierć przygotował; ale doskonałość sztuki lekarskiéj w ręku jego kollegów i przyjaciół professorów: Szpicnagla, Pelikana, Her-

berskiego i Porcyanki, najtroskliwszy dozór niezmordowanéj żony, brata i co bliższych uczniów, dały mu nabydź sił i korzystać z łaskawie zrazu na rok, a poźniéj (1826 Czerwca 8) nieograniczenie dozwolonego pobytu za granicą z całą pensyą, aż do zupełnego wyleczenia się. Pożegnawszy zatém wprzód najczulszém pismem Uniwersytet, opuścił Bojanus Wilno, w towarzystwie żony, brata i wychowanicy, dnia 24 Września 1824 roku, unosząc żal wszystkich ceniących jego zasługi. Udał się naprzód do rodzinnéj ziemi, do Darmsztatu, poźniéj przebywał w Schlangenbad, lecz gorączka powolna ciągle siły jego niszczyła. Umysł wszakże czynny w ciele półumarłém jeszcze się budził. Jeszcze stamtąd posyłał pod nazwą *Anonyma*, drobniejsze rosprawy do *Izydy Okena (B. XX.)*, którego zawsze uwielbiał, i który nie znając go wprzód osobiście, umyślnie w Darmsztacie, wiosną 1826 roku, dla zabrania bliższéj znajomości odwiedził. O tymże czasie przybyły z Goettyngi uczony lekarz A. Ber-

thold, doradził Bojanus'owi podróż do wód emskich, gdzie, lubo się zdrowie jego polepszać zdawało, doznał najokropniejszego ciosu w stracie nieodstępnéj towarzyszki swych cierpień, ukochanéj żony, która rozlicznémi talentami, znajomością wielu języków i muzyki, biegłością w literaturze i wszystkiémi domowémi cnoty jaśniała. Odtąd zmieniło się moralne jego usposobienie: siły nagle gasły, stracił nadzieję powrotu do zdrowia, opuściła go chęć życia, sam sobie wydawał się, jakoby od całego świata był odcięty, a czołgał się jeszcze między żyjącymi. Po pięcio-letniém nakoniec cierpieniu, a w półroku po śmierci żony, w Darmsztacie, 2 Kwietnia 1827 roku, mając lat 51, świat ten pożegnał.

Cechą wszystkich prac tego męża była scisłość w szczegółowych badaniach i wewnętrzne przekonanie o stopniu pewności, z jaką wnioskować można o nauce przyrodzenia w ogóle, z pojedynczych faktów służących jéj za podstawę. Wszystkie przedmioty nauk przyrodzonych, przez Boja-

nus'a wypracowane, równie najzawilsze, jako też najprostsze, noszą na sobie znamie przyjemnego wykładu i żywości umysłu zgłębiającego przyrodzenie. Też same zalety towarzyszyły i ustnemu, na lekcyach publicznych, nauczaniu, a szczęśliwa łatwość wysłowienia i przyjemny organ czyniły je bardziéj jeszcze dzielnémi. Była to prawdziwa roskosz słyszeć i widzieć Bojanus'a, kiedy, w pięknym amfiteatrze, kréślił od ręki trafny dla uczniów rysunek, w tejże chwili objaśniał go wyborną potoczystą łaciną, a w tych objaśnieniach zawsze rzucał śmiałe, dowcipne i płodne myśli. W sądzeniu o rzeczach naukowych, bardzo był przenikliwy, rozważny; postępował z pewną metodą i krytyką; w zdaniach atoli swoich nie był uparty, jeśli go słuszne dowody inaczéj przekonały. Sprawdziło się to nieraz w kollegialném odbywaniu dawanych przez Uniwersytet poleceń i w sporach o zagadnienia anatomiczne toczonych. I tak, nieraz ustępował publicznie sławnemu Okenowi, w trafném porównawczém oznaczaniu kostek cza-

szki rybiéj; chociaż się nie zgadzał z Blainvill'em i Treviranus'em (*Isis 1826. B. XX.*) względem czynności fizyologicznych i budowy muszel: ceniąc wysoce talent i zasługi Rudolphi'ego, nie chciał jednak przyjąć jego *principium musculare*, a raczéj tkance komórkowéj tworzenie się miąs przypisywał. Hołd, jaki oddawał twórcy anatomii porównawczéj, okazuje się z pism jego: wprawdzie niedostatek zoologicznych zbiorów i dalekość od miejsc w nie obfitujących, nie dawały Bojanus'owi wznieść się do tak wielkich odkryć, jak Cuvier, który anatomiją porównawczą utworzywszy, potrafił ją jeszcze zastosować najszczęśliwiéj i najtrafniéj do geologii, lecz za to niektóre swoje odkrycia zootomiczne Bojanus stosował bardziéj do praw fizyologicznych, a pod tym względem więcéj miał na celu prawa organizmów, aniżeli świata. Szczęśliwe połączenie talentu rysowniczego ze znajomością anatomii ułatwiało mu badania i dopomagało do zadziwiającéj w opisach ścisłości. Rysunki jego anatomiczne

owcy i żółwia, obraz szlachetnego konia w truchcie, portrety (jego własny, żony, przyjaciela, długo w Brezylii zamieszkałego, naturalisty Langsdorf'a) pozostaną dowodem jego pilnie kształconych malarskich zdolności. — Bojanus był tkliwy, silnych uczuć, temperamentu żywego, urazy nie łatwo zapominający, ale prawy i otwarty; w przyjaźni stały, dla każdego uprzejmy. Cudzoziemiec wszystkim uczonym krajowcóm oddawał sprawiedliwość. Skromny w każdéj okoliczności życia, unikał okazałości światowych, nie zajęty sobą, względny na drugich i pamiętny na ubogich. Zatrudnienia całodzienne miał najściśléj na godziny rozłożone, i przez cały rok jednostajnym trybem do poźna w nocy pracował, na każdą lekcyą głośno się gotował, z rękopisów pilnie przerabianych, wszystkie celniejsze pisma perjodyczne skwapliwie czytywał, a w ciągu czytania dzieł naukowych miał zwyczaj robienia na samych dziełach notat, zawiérających ostrą krytykę i głęboką znajomość przedmiotu. Uczęszczał na le-

kcye niektórych swoich kollegów, zwiedzał też i publiczne obywatelskie obrady. Zabaw wystawnych i błahych rozmów unikał, samotność nad towarzystwo przenosił; obowiązki swego stanu święcie spełniał, a w naukowych przedsięwzięciach ani zdrowia, ani żadnych kosztów nie szczędził. Wzrostu był więcéj niż miernego, budowy silnéj chociaż szczupłéj, włosów ciemnych, twarzy pociągłéj i rumianéj, nosa prostego, wydatnego, oczu wielkich ciemnych i pełnych życia, wzroku łagodnego, ujęcia miłego i wesołego; przytém cały przyjemną i niewymuszoną powagą tchnący. Oprócz języków ojczystego i łacińskiego, posiadał grecki, francuzki, angielski, duński, włoski, rossyjski i polski; poświęcał się niekiedy dość szczęśliwie drobnéj poezyi, lubił i znał muzykę, konną jazdę i fechty.

Na zawarcie tego krótkiego wspomnienia o pracach i zasługach Bojanus'a, zda mi się, iż najlepiéj użyję własnych słów jego o Piotrze Camper'ze i S. T. Soemmering'u wyrzęczonych. (*Anat. test. p. IV.*)

Vir benigna foecundi ac elegantis ingenii vena plenus et prout in anatomicis versatissimus, ita in arte pictoria mirum quiddam exercitatus: in arduis atque absconditis inde a fonte perscrutandis indefessus, studiosus magnorum documentorum et justus aestimator, novus tamen ubicunque et in perficiendis summis ingeniosissimus atque dexterrimus.

Szanowny cieniu! przyjm te słabe i niedostateczne wyrazy głębokich uczuć żywéj wdzięczności i hołdu czci należnéj od swego zwolennika, którego kształciłeś i któremu w naukach po mistrzowsku przewodniczyłeś. Wielu może lekarzy przypomni sobie swego uwielbionego nauczyciela, a każdy odda okazałą sprawiedliwość talentóm męża, którego ledwo odważę się nazwać moim poprzednikiem.

(*Dr. A. F.* Adamowicz.)

ROZMAITOŚCI.

O POLSKICH ROMANSOPISARZACH.

W raju będziemy od rana do wieczora czytali romanse.
GRAY.

Nim przystąpimy do dziejów tego oddziału literatury, wypadałoby powiedzieć: — co to jest Romans? jaka jego różnica od powieści, jakie rodzaje? — lecz jako najmniéj uległy prawidłóm estetycznym, błędny i nieokréślony, trudno, aby w kilku słowach mógł bydź zdefinjowany ten rodzaj pisania.

U Greków powieść była rozwiozłym obrazem, odrzucanym przez filozofów i senatorów z pogardą; u Rzymian, ich naśladowców, prawie pod tą tylko formą exystował,

odrodził się potém we Francyi, i z początku wiérszowany, od języka, którym go pisano, otrzymał nazwisko.

Lecz jakże się zmienił! Z najmniéj czytanego stał się powszechnie chwytanym, jedynym pokarmem kobiét, rozrywką poważnych, podejściem młodszych, zepsuciem wielu: ramy jego rozszérzyły się, pożyczonémi od historyi, filozofii, poezyi rysami. Stał się niejako mięszaniną wszystkiego, zwierciadłem, w którém szczątki połamane świata odbijać się zaczęły, a wzdęty zalał potopem księgi innych rodzajów.

W najprostszém znaczeniu, romans i powieść są obrazem jakiéjkolwiek epoki świata, życia, widzianéj niewielkiém skupiającém okiem historyka, ale drobnostkową, flamandzką, mikroskopową źrzenicą. Romans, co do form, da się podzielić na tysiąc rodzajów: co do rzeczy, jest zawsze ten sam; każdy pisarz niezależny, oryginalny, tworzy sobie nową formę; ale ogół myśli, materjał odlany w téj formie, ten sam jest zawsze; szczegóły, obrobienie, styl, stanowią różnicę.

Mając malować obyczaje domowe, familijarne, (*intimes*) życia towarzyskiego, romans w pieluszkach zaczął od malowania miłości, jako sprężyny, która u wszystkich innych najczęściéj, najczynniéj i najrozmaiciéj działa na człowieka i jego losy. Taki był romans początkowy francuzki, już tém różny od dawnych, że nie roskosz mo-

gącą przypomnieniem łechtać zmysły, ale wypadki życia ją otaczające, idące za nią i przed nią, malował.

Długo romans wyłącznie pilnował się ścieżki, prowadzącéj do kościoła lub cmentarza, po tysiącznych zmianach losu, które jak w *Tysiąc-Nocy*, czyniono dziwnémi, odznaczonémi kosztem prawdy. Wówczas nie był on jeszcze obrazem obyczajów żadnego wieku, bo zależał jedynie i wyłącznie na wypadkach, ich niespodzianości, rozmaitości i liczbie.

Dopiéro Cervantes, Fielding, Lesage, sprowadzili go na drogę właściwszą obrazów, przestał bydź dziwnym, a zaczął bydź prawdziwym, nie co do faktów i osób, lecz co do ogólnych rysów, charakterów i prawdopodobieństwa.

Odtąd w romansach rozróżnić można *wypadkowe*, zasadzone na intrydze, i *obrazowe*: w piérwszych bowiem obrazy są tylko ozdobą, ubraniem intrygi, w drugich samą rzecz stanowią i pozszywaną są tylko jednością osób, działania, interesu.

Stern może piérwszy oddzielił się znowu od poprzedników i stanął na czele *egotystów*, badających bliżéj przyrodzenie, i jak pająk z siebie ciągnących nić osnowy. Miał on wielu naśladowców, ale, w swoim rodzaju, sam jeden pozostał, tak dalece jest prawda, że kto sam z siebie nic stworzyć nie potrafi i łata się naśladownictwem, nie daleko zajedzie na pożyczonym koniu.

Pod względem humoru Stern i Rabelais stoją w rzędzie oryginalnych pisarzy: obu brakło na darze wynalezienia, chociaż umieli obrabiać po mistrzowsku, rozumie się na swój wiek i stosownie do jego smaku; żeby sądzić o ludziach, zawsze trzeba się stawić w ich okolicznościach.

Z wielkiego morza romansów francuzkich, mało już daje się czytać, a i te nawet, mierność tylko skromna, cicha, nieśmiała, czyni jeszcze używalnémi. Do czasów Walter-Scott'a nie mieliśmy wyobrażenia historycznego romansu; ramoty Panny Scuderi, potém Pani De Genlis i innych Pań i Panien i Panów, były tylko nasadzone historycznémi imionami pompatycznie, które w nich siedziały jak brylanty w błocie, ze zmienioną fizyognomiją, charakterem, działaniem, naciągniętym tylko do ciężko osnutéj intrygi machiny.

W ślady szkockiego powieściopisarza rzuciły się roje gryzmołów, z kronikami w ręku, z rysunkami i mappami miejsc, z księgami o starożytnościach narodowych: na nieszczęście wybiérając się w drogę ci wędrowcy, pozapominali tylko talentu.

Popularność Walter-Scott'a dowodzi zapewne, że nie był jednym z najoryginalniejszych genjuszów, ani Hoffman'em, ani Jean-Paul'em, ani Rabelais'em, ani Stern'em; wszakże nie idzie za tém, żeby każdy to co on potrafił. Bez wątpienia, prędzéj znajdzie się sto dobrych naśladowań

Walter-Scott'a, niż jedno Richter'a lub Stern'a, bo na to trzeba smaku, talentu, nie fantazyi twórczéj, ognistéj, lub szczypiącego, ostrego *humoru*: ale smak tak jest trudny do schwycenia, tak doczesny, tak nieokréślony, że nabycie go, równie prawie wrodzoném, jak tamtych dwóch przymiotów, nazwać się może.

U nas nie daleko trzeba szukać początku właściwych romansów i powieści: nie mieliśmy ich prawie, gdyż ucinkowe pisma, któreby się, pod pewnémi względami, podciągnąć dały pod ten rodzaj, właściwie nie należą do niego.

Powieść o *Marchołcie* bardzo dawna, nie jest oryginalną, równie jak historya *Alexandra Macedońskiego*, probki Morsztyna, (prócz jednéj,) ze względu na formę, należą do poezyi; materjał ich nic nie ma narodowego, charakterystycznego. *Paskwalina* tłumaczona, także do poezyi pójśdź musi, razem z tłumaczoną *Argienidą*; wszystko to były probki, w tym rodzaju, i wszystko z obcych pobrane, przepolszczone tylko, przenicowane.

Oryginalne proby są krótkie i mało znaczące, *Torba śmiéchu*, *Sakwy*, *Podróż Maćkowa*, po większéj części z epigrammatycznych składają się cząstek. Ostatnia tylko ma pewien ciąg, ale sposób jéj obrobienia tak jest gruby i niesmaczny, dowcip tak nikczemny, że myśl główną, jeśli jaka była, zabija.

Maciek z Chodawki, bohatyr powieści, nie ma żadnego charakteru, i w myśli pisarza nie miał go pewnie, jest tylko laską, którą on prowadzi, żeby mógł opisywać przypadki i dzieje. Ale jakież dzieje *Jęczmiennego* świata, po którym podróżuje. Zamki z pajęczyny, góry z mgły, ludzi poubiéranych w sér, masło, mléko! trzech śledzi siedzących przy bramie miasta w fajerce na straży, bankiet piekielny, u króla tego kraju, jego dwór złożony z osób tworzonych podobnież z materjałów najróżnorodniejszych. Cała *Podróż Maćkowa* jest bajką dziecinną, i tém bardziéj zasługuje na to imie, że najpilniejsze oko nie dostrzeże w niéj nawet satyry, alluzyi, celu, myśli żadnéj.

A jednak jest to może piérwsza oryginalna powieść polska?.. a wyszła w początkach siedmnastego wieku!

W ośmnastym przez tłumaczenia zaczęliśmy poznawać obce tego rodzaju proby. Marmontel'a, Woltera, Fielding'a, nie mówię nic o tłumaczeniach, bo wszystkie potwierdzają włoskie przysłowie: *traduttore traditore*.

O tym czasie także pokazał się *Goworek herbu Rawicz* i *Rzepicha*, potém *Podolanka*, naśladowanie co do myśli głównéj Woltera i innych 18 wieku filozofów, którzy zaczęli wnioskować z chorobowego stanu towarzystwa, że zbliżenie do natury, byłoby lekarstwem jego najskuteczniejszém.

Nie potrzeba nawet zbijać tego zdania; póki na papiérze, dobrze się wydawało, lecz z lepszém poznaniem ludzi, w *stanie natury* tak chwalonym, zostających, samo z siebie upadło.

Piérwszy powieściopisarz godzien zastanowienia, jest Krasicki; jego *Historya*, *Podstoli*, *Doświadczyński*, prawo mu do tego zupełne nadają. Głównym charakterem pism jego wszystkich i powieści razem, jest *smakowny dowcip*; celem zawsze poprawa, moralne ulepszenie. Posłuszny prawidłóm, dosyć zimny, widać, że na chłodno pisał wszystko, więcéj też tam do rozumu, niż do czucia. W *Historyi* wciela się on w dawne wieki, stara się odgadnąć przeszłość i uczynić ją podobniejszą do prawdy, mniéj poważną, mniéj wielką, dostępniejszą, daje słabości bohatyróm, drobne przyczyny, na miejscu cudów, zupełne odczarowanie tego świata, który się tak niepokalanym, wyniosłym, wielkim wydaje, za mgłą czasów i półprzezroczystą zasłoną mówców historyków.

Zdaje się, że w *Historyi* jest przeczucie tych zmian, jakim ona teraz uległa, stając się co chwila bardziéj szczegółową, prościejszą, oczyszczoną z dziwów, dodatków i poważnéj togi Tucydydesa, Tacyta.

Krasicki jest tak jednostajny w sposobie obrabiania materyj, że jedno jego pismo przeczytane, daje go zupełnie poznać

i donośność (*portée*) jego talentu i manjerę i artystyczną umiejętność.

Doświadczyński, jest prawie *une piéce de circonstance*, ostatnim krzykiem starca na szaleństwa młodzieży, obywatela na bezrząd kraju. Wprowadzony tutaj *Utopij* obraz, pożyczony od tysiąca innych, którzy z Platonem i Tomaszem Morus'em lubili marzyć o jakiejś doskonałości niezgodnéj z naturą i stanem społeczeństwa, najmniéj ma wartości i oryginalności; inne narodowe obrazy pełne prawdy, chociaż dość ogólnéj, będą zawsze źwierciadełkiem towarzystwa polskiego, w owych czasach.

P. *Podstoli*, to utopija znowu, tylko inna, w szaraczkowéj kapocie, z wąsami, siedząca nad krajowym miodu dzbanem, pod starą lipą dziedzińca.

Pismo to, nie jako utwór artystyczny, lecz jako książka wyłącznie z potrzeby napisana, uważane bydź powinno. Autor nie wysilił się wcale na obrazy: osnucie intrygi, wszystko, co powieść czyni pokrewną artystycznych tylko i pięknych (bez innego celu nad piękność estetyczną) dramatów i epopei. Jest to raczéj powieść z ekonomii politycznéj, administracyjna, utilitarna, a ten jéj cel pożarł inne, jakieby mieć mogła. Jest ona piękną dla celu i myśli, nie dla saméj siebie. Widać w niéj ten prawy, stary charakter polskiego szlachcica, który często woli swoje mierne od cudzego dobrego, bo swoje jest swojém.

Zimna rozwaga, rozumowanie, poważna instytucyonalność, panują w niéj wyłącznie. Krasicki w P. *Podstolim* zapomniał, że miał dowcip i serce, pamiętał tylko, iż miał rozum, niewielkie tam weń nawet włożył koszta imaginacyi. Poźniéj powiémy o naśladowcy jego i kontynuatorze.

Po Krasickim nikt bardziéj nad autora *Dwóch Sieciechów*, *Lejby i Siory*, *Jana z Tęczyna* i t. d., nie zasługuje na głębokie zastanowienie.

Różnostronny talent Niemcewicza, niedaleko jednak sięgający, ma wiele podobieństwa z poprzedzającym, nagina się do wszystkich rodzajów, dla tego, że braknie mu sił na oryginalność niezależną. Dowcipne postrzeżenia i trafne obrazy, stanowią całą wartość *Sieciechów* oraz *Lejby i Siory*; w tém jednak ostatniém pismie, na nieszczęście, przywiązała się do autora myśl utilitarna, któréj poświęcił wiele pod względem artystycznym. Poprawić Żydów książką, któréj czytać nie mogli? — nie wiém, czy podobna było: — więc na cóż, z tego, co bydź mogło prawdziwym humorystycznym obrazem, robić było znowu utopiją dla Hebreów?

Romans czy powieść, ażeby były całkiem tém, czém bydź powinny, innego celu nad estetyczny, piękności, artystyczny, wykonania, mieć nie powinny. Poważne reformatorskie uwagi zamknięte w bladoróżowéj łupinie fikcyi, same stają się bez-

użyteczne, a jéj wiele ujmują. Jednostajność celu, skupia wszystkie myśli w jedno ognisko, rozdwojenie osłabia; sławne *utile dulci*, tak się chyba da tłumaczyć, jeśli w *utile* widzieć będziemy wzór estetyczny. Innęgo rodzaju użyteczność, ażeby odpowiedziała celowi, potrzebuje wyłącznego, dogmatycznego wykładu.

Jan z Tęczyna, dowodzi tego, cośmy powiedzieli, to jest giętkości talentu Niemcewicza, jest bowiem przebraniem Walter-Scott'a w kontusz i żupan ze szkockiego *tartanu* i *plaidu*. Przedmiot wybornie obrany, ślicznie obrobiony, interes ciągły, obrazy prawdziwe, wiele wsiąkłéj erudycyi, zalecają ten romans, czyniąc go jedném z najgodniejszych przeżycia pism autora. Możnaby jednak zarzucić (bo cóż bez wady) trochę jeszcze staroświeckiéj deklamacyi i pospolitość niektórych charakterów, równie jak chybne i nie ściśle współczesne szczegóły życia owego wieku, czemu winien bez wątpienia brak starożytników i badań. Jednakże co za przewyborne obrazy! — przybycie do domu Jana, tak poruszające każdego umiejącego czuć cokolwiek człowieka: każdego, który, kiedy po długiém oddaleniu do rodzinnego zbliżał się kąta: ten poranek wiosenny, to uśpienie zamku, wszystko mistrzowskie! Potém napad Tatarów, dwór szwedzki, i ta nawet wyspa smutna i mglista, na któréj kona bohatyr, ileż mają w sobie dowodów nie-

pospolitego talentu i fantazyi! *Jan z Tęczyna*, był, zdaje mi się, piérwszym romansem historycznym polskim, w rodzaju Walter-Scott'a; ale długo będziemy na taki drugi czekali.

Pojata, która wiele szumu wychodząc na świat zrobiła, jest niezmiernie niższą od poprzedzającego romansu; nie wiém w jakim celu autor, P. Bernatowicz, rozciągnął ją zbytecznie. Przedmiot i czas powieści są po części winne, że nigdy prawdopodobną, co do szczegółów, bydź nie mogła: bo gdzież było szukać obrazu ówczesnych obyczajów, strojów i tysiąca szczegółów, które sumienny malarz z historyczną scisłością wiernie odkréślić powinien? Rycerze Pojaty są kosmopolici, a wcale nie nasi, takich znajdziemy wiele i w niemieckich i we francuzkich romansach, a jednak nasi musieli się od od innych wybitnie, nawet materjalnie, różnić. Słyszałem zdanie jednego uczonego o *Pojacie*; jest ono bardzo trafne: — «Pojata, powiadał, przypomina mi bardzo *Numę Pompiljusza*.»

Trudno z niéj powziąć wyobrażenie o talencie autora, tak mało jest wybitną; w *Janie z Tęczyna*, któż nie dójrzy poety? w *Podstolim*, starego szlachcica, poczciwego gaduły; w *Pojacie*, prócz osób wprowadzonych, nic nie widać: wszystko jest zwyczajne, pospolite, nie wychodzące ani na włos z reguł domyślnych, jakie z romansów Scott'a wyciągnąć można. Słowem,

Pojata, nie wewnętrznéj wartości, któréj nie ma wcale, ale ciekawości bezczynnéj, oczekiwaniu powszechnemu winna swoję wziętość i powtórne wydanie, które się nie tak łatwo rozejdzie jak piérwsze.

Lecz porzućmy na chwilę autora *Nałęcza* i *Pojaty*, ażeby się zwrócić do osobliwszego romansu, pod tytułem: *Julja i Adolf*, który wzbudził w Bernatowiczu piérwszy popęd do pisania i był powodem wydania *Nierozsądnych ślubów*.

Julja i Adolf, jeden z najrzadszych romansów pod słońcem, jest tylko naśladowaniem *Heloizy* Russa, ale tak przesadzoném, tak nietrafném, jak tylko bydź może. Powieść, na któréj się rzecz opiéra, nie jest ani nową, ani dziwną, ani zajmującą, a wykonanie rozwlekłe, blade, bezsilne. W *Heloizie* jest wiele myśli i ognia, pomimo exaltowaną deklamacyą, a tu tylko blade grobowe żale, które, gdyby choć tak jak w *Heloizie* przystosowane były, ujśćby mogły, ale nigdy pojedynczo nie mogą bydź znośne, kiedy niémi cała książka jest zapchana. Dodajmy do tego krzywy sposób widzenia i malowania świata, ludzi i rzeczy, przypominający dawne heroiny francuzkich i angielskich romansów; brak zupełny narodowości i charakterystyczności, a będziemy mieli tego sławnego *Adolfa i Julją*, który, nie wiém za co, dostąpił szczęścia, że był tłumaczony na francuzki język: wiém o tém, bo widziałem tém

tłumaczeniem podklejone okładki nowego romansu.

Jednakże czułym tym istotóm szesnastoletnim, które mają łez nad potrzebę, bardzo się podobała *Julja i Adolf*; ich męki, żale i platoniczne łzy i śpiéwy, i wspomnienia, i westchnienia i tysiące tych miłośnych drobnostek, przy blasku srébrnym księżyca, szmerze strumienia, jęku echa i szumie lasów, postawionych w krainie, któréj próżnoby kto szukał na mappach i w księgach, którą ledwie na zatraconych topografiach, *dans le pays du Tendre*, znaleźć można.

Z tego romansu wziął Bernatowicz myśl do *Nierozsądnych ślubów*, które także nie są podobno zupełnie rozsądne.

Sława poetyczna Wężyka, nie dozwala nam zbyt ostro i szczegółowie sądzić *Łokietka* i innych jego walterskotacyj; musimy tylko wyznać, Bogiem a prawdą, że romanse nie byłyby mu nigdy zjednały téj sławy, na jaką poezyami zarobił.

Lecz zapomnieliśmy o *Malwinie*, książce znaczącéj w swoim czasie, o któréj pisał Sniadecki, którą przetłumaczono na francuzki i rossyjski język. Jest to dzieło kobiéty; wybaczymy więc w niém niektóre, nadto może, patetyczne i deklamacyjne kawałki, a z radością zwrócimy uwagę na wszystkie postrzeżenia obyczajowe, które z niepospolitą dokonane są trafnością. Ile tylko jest w *Malwinie* prozaicznych życia obrazków,

wszystkie są wyborne. *Kwesta* mianowicie, przypominająca manjerę Panów *Jay* i *Jouy*, jest wiązką najprawdziwszych obrazków. Co się tycze intrygi, pozwólmy, że jest przymuszoną i nadciągniętą, a nakoniec nie nową wcale, bo już tych *Soziów* i *Menechmów*, zacząwszy od Plauta, mieliśmy nieprzerachowaną liczbę: i nie wiém dla czego tyłu pisarzy jeszcze probuje nanowo tak spróchniały materjał obrabiać.

A że raz mówimy o kobiétach, nie zapomnijmy o jednéj, zasługującéj na pamięć, któréj pisma z wielką przyjemnością zawsze czytane będą.

Hrabina Jaraczewska napisała *Zofją i Emilją*, *Wieczór Adwentowy*, *Piérwszą młodość*, *piérwsze uczucia*; wszystkie te powieści (z których ostatnia obszérna i z pewnym planem napisana), noszą cechę autora, mają swój osobny charakter, indywidualne przymioty i wady, jednèm słowem są zupełnie oryginalne. Nadany im tytuł, narodowych powieści jest zupełnie stosowny, znać ze wszystkiego, że materyałów do nich, nie przesycenie się obcémi pisarzami, ale osobiste dostarczały postrzeżenia: każda drobnostka jest ściśle z natury wzięta, z troskliwością starożytnika i prawdziwie *con amore*.

W ostatniéj powieści, co za wyborne obrazy, tego professora i jego domu, gospodarstwa starego kawalera, życie młodego rozpustnika i téj bogatéj rodziny, która się

bawi tylko! Jak charakterystyczne są opisy tych balów, imienin, uroczystości, do których autorka zdaje się mieć predylekcyą osobliwą. Nie mówię nic o celu, który osobliwie w ostatniéj powieści, jest bardzo wyraźny, a tém pożyteczniejszy, że sztucznie osłoniony, nie przebija opon, jakiémi bydź zawsze pokryty powinien. Większą, niż się zdaje, jest sztuką, umiéć pogodzić artystyczne wykonanie i użyteczność, tak, aby żadnego nie było nadto, i jedno drugiego nie zabiło. To cośmy o jednéj powiedzieli, powiedzieć można o wszystkich powieściach P. Jaraczewskiéj, będą one zawsze dowodem niepospolitego talentu, i trafnego oka autorki. Nikt ich nie naśladował, mają bowiem zupełnie indywidualną fizjognomią, i chociaż P. Jaraczewska nie należy do wielkiéj szkoły egotystów, odbiły się jednak we wszystkich jéj pismach: sposób życia, towarzystwo jakiém była otoczona, świat w którym żyła. Jako kobiécie dałbym jéj piérwszeństwo nawet przed autorką *Malwiny*, i przed wszystkiémi współzawodniczkami, — nie przyjmując autorki *Rozrywek*, któréj powiastki dla braku oryginalności i dla celu utylitarnego, nie mogą bydź sądzone jako dzieła talentu; lecz jak drugiego rzędu wyroby, jakich każdy oczytany i smakiem udarowany człowiek, ile zechce, stworzyć potrafi.

Autorowie piszący o edukacyi zupełnie oddzielną klassę stanowią, a jeśli swojego

celu dopięli, tém się tylko kontentować muszą. Te tylko pisma za artystyczne, genjalne się uważają, których autorowie prócz wewnętrznego popędu, zapału, natchnienia, innych celów nie mieli i podrzędnym widokóm uprowadzić się nie dali.

Nic nie powiém o autorce *Ragany*, bo chcąc cokolwiek w pismach jéj pochwalić, musiałbym się chyba unosić nad pięknością papiéru, druku i okładek; — a to do mnie nie należy.

Zostaje nam jeszcze kilku godnych zastanowienia pisarzy, na których czele stoi Hr. Skarbek, autor *Pana Antoniego*, *Podróży bez celu*, *Pana Starosty*, *Unterlejtnanta*, *Ruszczyca*.

Oprócz szacownych pism jego o ekonomii politycznéj i kilku nowych prób dramatycznych, powieści dadzą się wyraźnie na trzy rozdzielić rodzaje. Piérwsze *Antoni* i *Podróż*, są humorystyczne w rodzaju Sterna, *Starosta* i *Unterlejtnant* są obrazami w rodzaju P. Jaraczewskiéj (poprzedziły ją wszakże) a z czyściejszym smakiem, większą wprawą, bez deklamacyi i odwiecznego *pathos* pisane.

Ruszczyc jest walterskotacyą i z powieści Hr. Skarbka może najmniejszą ma wartość.

Podróż bez celu, piérwsze pismo w rodzaju humorystycznym, przy wyjściu na świat, bardzo chwytane było, i w istocie zasługuje na to: jest to, bez wątpienia, z na-

śladowań Sterna najwolniejsze, najoryginalniejsze, najlepsze; ważnym zapewne zatrudnieniom autora przypisać trzeba, że nas teraz tylko drobnémi dramatami obdarza.

O znaczniejszych kilka słów powiedziawszy, mało nam już prawie o kim wspomnieć pozostało, bo nie wiémy, czy *Romans administracyjny*, jako *amfibja* literacka, da się sądzić pod względem sztuki, mając za cel nie sztukę, nie piękność o któréj tyle razy wspomnieliśmy, ale użyteczność materyalną. Wspomnimy jednak i o tém, ażebyśmy mogli pokazać, jak dalece *Podstolic* od *Podstolego* się odrodził.

Autor *Podstolica* przeczuł i oznajmił przyjście i sławę powieści Panny *Martineau* (*), którą teraz nie mając co lepszego do roboty, wysławiają angielscy dziennikarze. Pytam się jednak, jaki bydź może skutek *Podstolica*? czytają go ci, którzy nic poprawić nie myślą i nie mogą, a ci w których ręku jest odmiana, szukać do niéj pomysłów nie będą w romansie.

Każda rzecz ma swój język i formy: — pisząc o administracyi i ekonomii politycznéj, na cóż się wdziérać w drugi zupełnie obcy temu rodzaj i siadać na dwóch stołkach? Najlepsze, najświętsze uwagi i rady *Podstolica*, mogąż mieć zupełną wiarę

(*) *Illustrations of Political Economy.*

i zasłużyć na nię, kiedy są sposobem tak lekkim, tak niestosownym ogłoszone? Przywykliśmy oddawna czytać romans tylko dla przyjemności, lub co najwięcéj, dla pochwycenia tych ogólnych myśli filozofii moralnéj, która łatwo daje się językiem zapału wysłowić i wmieszać w opowiadania swe, czy podobna kurs administracyjny zamknąć w romansie, i wierzyć, że administracya i romans, dadzą się złożyć w jedno amalgama??

Przeszedł ten wiek, w którym w braku innych form, musiano (jak Heziod Roboty i Dni, a Wirgiljusz Georgiki) poważne lub prozaiczne przedmioty, ubiérać w szatę poezyi i zmyślenia: dziś każdy rodzaj, ma swój osobny sposób pisania i swoich czytelników: chcąc pisać dobrze, dziś koniecznie potrzeba bydź jednostronnym.

Jako Romans obyczajowy uważany *Podstolic*, jest wyborny, nie można żądać lepszych *tableaux du genre*, nad te które w nim znajdujem; przymięszana jednak administracya bardzo go ochłodziła. Lecz te same myśli administracyjne, wzięte oddzielnie są wielce użyteczne, bardzo sprawiedliwe, jasno wyłożone, pracowicie zebrane; — pomięszanie tylko tak różnorodnych piérwiastków, obudwóm szkodzi.

Co za szkoda, że Bronikowski nie pisał po polsku! jego romanse historyczne, chociaż nie są genjalnémi utworami; dowodzą jednak talentu znamienitego i wielkiéj

wprawy. Część historyczna we wszystkich starannie jest obrobiona, materyały dwóch rękopismów i rzadkich ksiąg wyszperane, same nawet szczegóły lokalne, więcéj niż zwyczajnie u naszych pisarzy wypracowane.

Szkoda, że w *Janie III* naśladując Walter Scott'a, jeszcze go gadatliwością przesadził, i tak rzecz nieznośnie rozciągnął, że mnóztwo scen wielkich i pięknych szczegółów, w tym oceanie słów utonęło. *Boratyński* jakkolwiek długi, nierównie ma więcéj życia i ognia; nie mówimy o innych, bo i te do nas nie należały.

Przychodzi nam się teraz zastanowić nad tym osobliwszym fenomenem naszéj literatury, że jak w inszych rodzajach, tak i w tym, nie mamy żadnego genjalnego pisarza, któryby niezależnie od smaku wieku, i przykładów obcych, wystąpił z dziełem mogącém mieć jakikolwiek wpływ na duch literatury, któreby albo w formach, albo w materyi, zupełnie od otaczających był różny.

Francya miała kolejno Scuderi, Genlis, Ducray-Duminil, Lesaga, póki nie przyszła do dzisiejszych Jacobów, Janin'ow, Sue, Balzac, Hugo. Niemcy mieli Jean Paul Richtera olbrzymiéj fantazyi i oryginalności pisarza, przed dzisiejszym Hoffmanem i Goethem, Anglicy mieli Sterna, Fieldinga, Dawela Foë, i t. d. przed Walter-Scottem; Horace

Smith i Maturinem: — my tylko i Włosi żadnego oryginalnego nie posiadamy pisarza. I to jeszcze nie godzi nam się porównywać z Włochami, którzy nowellistów od 15go wieku, jeżeli nie wcześniéj, wprawdzie jednotłowych i podobnych do siebie jak bliźnięta, ale mają.

Nie mówię nic o Hiszpanii i Cervantesie, bo *Don Kwichot* jest wyjątkiem i jest jedyny w literaturze hiszpańskiéj, wyniknął on z przyczyn miejscowych, maluje Hiszpaniją, i jest zupełnie narodowy, ale nikt go nie myśli naśladować, bo dziecińAs stwem byłoby podobne pismo bez celu i pobudek, a do tego wątpię, żeby sobie kto pochlebiał, iżby potrafił iśdź o prym z Cervantesem.

Wspomnijmy jeszcze, iż Hiszpani, lud rycerski, mają mnóztwo rycerskich powieści i romansów, ich tytuły w *Don Kwichocie* wyczytać można.

Najpospolitszémi w dawnych romansach francuzkich, są heroiny przez długi szereg nieszczęść, uwięzień, opiek stryjów Orgonów, napaści nielubionych kochanków przechodzące do ołtarza, bohatyrowie pojedynkujący się, śpiéwający pieśni przy bladém świetle księżyca, z rywalem rudowłosym, kosookim, bogatym i najczęściéj zbrodniarzem, jak się na końcu pokazuje; — bo w starym romansie cnota zawsze tryumfuje na końcu, a nieodbicie potrzebny *Lovelace*, siedzi zamknięty w kozie, lub zostaje zabity.

Przemykają się, w ciągu rzeczy, klasztory, zamki opuszczone, czasem odkrywają się nagle niespodziewane pokrewieństwa, poznane po rodzimym znaku, po krzyżyku, po bliźnie.

W śmielszych nieco ojciec czasem bywa nawet tyranem i złośnikiem, ale jeżeli co wielkiego zbroił, autor pozwala mu wymknąć się do obcych krajów, lub zakapturzyć w klasztorze, żeby tak blizkiego krewnego heroiny lub bohatyra, nie poprowadzić, jak pospolitego złoczyńcę, na szubienicę lub do więzienia.

W Angielskich romansach więcéj może jeszcze bywało sentymentalności, ale czasem pozwalano sobie dorzucić dozę śmiészności, przechodząc z plebanii do zamków, do ruin, do oddalonych siedlisk w górach, a nawet i na ląd stały i do Paryża, dokąd się zawsze udawał bohatyr tracić majątek i żyć z aktorkami: — taka była reguła.

Na końcu jeśli nie wesele, to, waryacya i śmierć przyjśdź musiała.

W niemieckich najulubieńszym przedmiotem są, albo niepohamowane, piekielne, niezrozumiałe fantazye, albo sentymentalne *familien-gemälde.* *Wikary Wakefildzki* Goldsmith'a, chociaż po angielsku napisany, co do ducha, jest niemiecki. Niemieckiémi także narodowémi są: Aug. Lafontaine, Henryk Zschocke, dowcipny, szyderski, lecz nigdy nie kąsający głęboko, zawsze wzdychający do tych zgromadzeń

familijnych, opisanych tak dobrze w *podwieczorku Wertera*, gdzie *Lotchen* skromna rozkrawa chléb z masłem dla dzieci. Pastorowie są figurami, na które się najczęściéj w podobnych romansach natrafia. Drugi rodzaj niemieckich romansów stanowią fantastyczne, jak Jean Paul'a, który żadnych reguł, żadnego nie mając wędzidła, leci na hippogryfie w krainy nieznane, w których jednak znajomych nam pokazuje ludzi. Do tych należą Hoffman'a powieści, co do myśli tysiąc razy niższe od Jean Paul'a, głębokiego filozofa, erudyta, poety, ale mocne w wynalezieniu, zadziwiające czasem uporządkowaniem i ciągiem najróżnorodniejszych myśli. Nie wspominam o *Wilhelmie Meister* Goëthe'go, gdyż ten do żadnego rodzaju przyłączyć się nie da.

Z form, pod jakiémi pokazują się najczęściéj powieści i romanse u nas, wnosić należy, że naszym rodzajem, będą te drobnostkowe malowidełka obyczajów (*tableau de genre*), które, zacząwszy od Krasickiego, pokazują się ciągle i wracają, w pismach Niemcewicza, Skarbka, Jaraczewskiéj, w *Malwinie*, w *Podstolicu*. Nie mamy jeszcze żadnéj fantastycznéj proby w naszym języku, któraby z upodobaniem czytana była i naśladowana (co do ducha), co dowodzi, że fantastyczność nigdy podobno nie wyrośnie i nie wykwitnie na naszéj ziemi. Co tylko wychodzi z zimnych prawideł rozumu, choćby było dla czucia i

imaginacyi powabném, u nas, zawsze podobno, powitane będzie wykrzyknikiem takim, jakim witano *Zawieprzyce* Bronikowskiego:

To bez sensu!

Nie śmiém powiedzieć, dla czego tak jest i czy zawsze tak będzie? Czasem jeden genjalny pociąg pióra, zmienia stare nałogi i dawny sposób widzenia.

Na zakończenie musimy jeszcze wspomnieć o dzisiejszych, powieścio- i romansopisarzach francuzkich, których ducha wpływ powoli się rozchodząc, bez wątpienia i do nas dójdzie.

Nie podobna naznaczyć formy teraźniejszemu francuzkiemu romansowi, gdyż cechą epoki jest nadzwyczajna rozmaitość, wszakże sprawiedliwie Niemcy i Anglicy wyrzucają Francuzóm upodobanie w zbrodniach, w obrazach szkarad i okropności, jakiémi nie tylko powieści, ale i cała literatura francuzka, we wszystkich rodzajach, jest zarzucona. Wypłynęło to z nudnéj jednostajnéj bladości przeszłych wyrobów, które bliźnięcém podobieństwem do siebie, znudziły nareszcie. Dla uniknienia téj jednostajności rzucono się w kontrasta, i dla tejże przyczyny obrano obrazy najodrażliwsze, niedostępne dawnym pisarzóm.

Ta gwałtowna żądza nowości, nie samę tylko nowość materjałów pociągnęła za sobą, ale także urozmaicenie w sposobach obrabiania, i nowość postrzeżeń. Ci, co narze-

kają na szkaradność obrazów w romansach i powieściach francuzkich, powinniby wszelako pamiętać, że w dziełach sztuki, wykonanie takie wiele znaczy, że opis najokropniejszego wypadku, jeśli tylko jest z talentem odmalowany, choćby był najszkaradniejszym, zawsze jest dowodem talentu.

Amator, utilitarjusz, może krytykować materjał i cel, artysta widzi tylko piękność wykonania. Objaśniam przykładem: — wiele jest niepięknych rzeczy w flamandzkich obrazach, a obrazy mogą bydź dla tego bardzo piękne. I na to jeszcze uważaćby potrzeba, że ściśle prawdziwe, jak są, (lub chcą bydź) teraźniejsze francuzkie romanse, muszą opisywać prawdę, pod wszystkiémi postaciami.

Chciano nowości: — przyszły szkarady i zbrodnie, *bo zbrodni jest tysiące — cnota jest jedna!*

Ta mi się najprościejsza zdaje przyczyna wszystkich okropności francuzkich, które w istocie ani z duchem narodu, ani z duchem czasu nie są zgodne, a wiele szkodzić mogą, póki piérwsze chwile nie przejdą, ludzie się z niémi nie oswoją i nie pomiarkują, że można czytać P. Hugo, a jednak nikogo, ani siebie nawet nie zabić.

Czemuż nie przypisywano wpływów szkodliwych ani Maturin'owi, ani wielu innym, których dziwaczność upodobała krew, mordy i zbrodnie? Przecież w *Melmocie*

nie mniéj się znajduje okropności, jak w *Hanie* i *Notre Dame*?

Nie godzi się podwyższać tak dalece nowych romansów, żeby im dawać jakieś reformatorskie, sataniczne tendencye; jeżeli jaki warjat w łeb sobie strzelił przeczytawszy *Wertera* lub nowy romans francuzki, któż temu winien? Niech Gall i Spurzheim odpowiedzą.

Wiktor Hugo, uważany za protoplastę nowéj szkoły francuzkiéj, chociaż on tylko razem z innymi przeczuł odmianę, a śmieléj od innych rzucił się nową drogą: w powieściach swoich poetyczny, kontrastowy, często deklamator, pomimo wielkie pomysły, któremi błyska, najmniéj z nowych pisarzy ma daru postrzegania, ale za to wiele imaginacyi.

Świadczę się *Notre-Dame*, *Bug-Jargal'em* i *Hanem Iślandzkim*, w których pełno jest obrazów, lecz nigdzie takiéj uwagi nowéj i uderzającéj, któraby czytającemu z ust mimowolny wykrzyknik podziwienia wyrwała. Piękna jest exekucya tych wszystkich romansów, ale co się tycze prawdy historycznéj, téj także braknie, przy najstaranniejszych poszukiwaniach i ubieganiu się za prawdziwością, wszędzie jeszcze staroświecki *pathos* psuje obrazy P. Hugo.

W daleko wyższym stopniu, łączy z darem postrzegania, żywą i poetyczną wyobraźnią, Pan Sue (*Eugenjusz*). Wszystkie jego pisma, w tym rodzaju, niezmiernie są

zajmujące; nie mało zapewne interesu dodaje im teatr ich (morze), ale i bez tego nie straciłby na wartości. Pomysły świéże, naturalne, rozmaitość scen i charakterów, śmiałość uderzająca postrzeżeń, szyderskie protestacye przeciw teraźniejszemu stanowi myśli i towarzyskiego życia, znamionują wszystkie pisma P. Sue.

Po Panu Sue, możeby wypadło o fantastycznym wspomnieć Janin'ie (*Jules*), który swój talent rozdrobiwszy na *feuilletonach Journal des Debats*, dobrze przyjęty wystąpił w *Powieściach fantastycznych*: — *Barnave*, nic nieznaczącéj bijografii skoczka *Debureau*, *Spowiedzi*, *Kobiécie i Ośle*, *Tymonie*, *Alceście* i t. d.

Pod względem stylu nikomu on nie ustąpi; czasem przychodzą mu pomysły uderzające, lecz nie z charakteru, ale ze systematu będąc fantastycznym, tą fanfaronadą dziwaczności wszystko psuje. Pojmujemy nieporządek myśli i wyobrażeń w innych pisarzach, w P. Janin'ie jest on wyraźnie umyślny, naciągany, i przysiądzby można, że w jego głowie myśli piérwotne szykują się bardzo systematycznie; ale postanowiwszy sobie raz bydź dziwacznym, Janin nie wychodzi z tego. Najgorsze jego są naśladowania Hoffman'a, najlepsze powiastki *Elle se vend en detail* i *Historya Córek Sejana*, w *Barnavie*.

Pod względem wpływu, najstraszniejsze są romanse, wychodzące pod pseudonimem

George Sand, przypisywane Pani Dudeffant, a w istocie podobno będące razem dziełem kobiéty i mężczyzny. Nie wiém, czy dla odznaczenia się i zrobienia prędkiéj sławy, czy z przekonania (o czém wątpię) *Sand* bije na wszystkie instytucye, zwyczaje, obrzędy, świętości nasze; jeśliby jednak te romanse skutek jaki mieć mogły, nie można się lękać po nich żadnéj zbrodni, i wyuzdaną chyba rozwiozłość sprowadzić potrafią: bo ją tylko wychwalają, choć nieznacznie, i do niéj zawsze idą i koło niéj się kręcą. Powiadają, że pijacy, nigdy trzezwości nie chwalą (albo bardzo rzadko), czy nie tak się ma i z tym *Sandem*? ktokolwiek on jest. W takim razie wiadomość o życiu autora, możeby skutkóm pism zapobiegła.

Przychodzim nareszcie do najsławniejszego, najoryginalniéj i najtrafniéj piszącego, do P. Balzac. Niepodobieństwo, abyśmy go sądzić mieli, bo prócz pochwał i ogólnych uwag, niebyśmy o nim do powiedzenia nie znaleźli.

Wiela bardzo, których całém prawem do sławy są romanse, poginie, nim Balzak'iem się nacieszą; w istocie, jaki humor, jaka trafność w najdrobniejszych postrzeżeniach, jaka flamandzka cierpliwość w malowaniach tego pisarza, ten tylko pojmie, kto czytał. Wszakże we Francyi przyjęty z zapałem, już znalazł wielu nieprzyjaźnych; powiedziano, że *Eugenją Grandet*

przywłaszczył z angielskiego, (chociaż w istocie Balzac po angielsku nie umié ani słowa); wyrzucono mu trochę brudne *Contes drolatiques*, i zaczęto przebąkiwać, że nie od razu tak wielkim został, bo długo pod *pseudonimami* pisał księgarzóm pięciotomowe romanse, które niczém osobliwém nie uderzywszy, zginęły w tłumie. Bądź jak bądź, od czasu, jak wydał *Jaszczur*, *Fizyologią małżeństwa* i *Sceny życia wiejskiego i paryzkiego*, reputacya jego niezachwianie się ustaliła, i żaden *Reviewer*, ani *feuilletonista* jéj nie zwali, bo jest istotnie zasłużoną.

Prócz tych, których wymieniłem, ma Francya tłum wielki powieścio- i romansopisarzy, z których znaczniejsi są: Jacob (*Paul Lacroix*), Raymond, X. B. Saintine, S. Beuve Stendhal, Jal (pisarz romansów morskich), Pani Gay i Desbordes-Valmore, (obie bardzo mierne), Henri Martin, Fred. Soulié, Alek. Dumas, (który się wsławił dramatami), Alph. Karr, Ph. Chasles (tłumacz Jean Paula), Ch. P. de Kock, (którego wszystkie romanse są do siebie podobne jak dwie krople wody, i składają wielką monografiją rozpustników i gryzetek), Ch. Nodier (znakomity filolog i lingwista), Barginet (naśladowca niedołężny Walter-Scott'a), G. Drouineau (któremu się zdaje, że można świat romansami zreformować), Lottin de Laval (autor nadto chwalonéj *Maryi Me-*

dicis), Alph. Royer (którego *Venezia la bella*, nie odpowiada tytułowi i strasznym sposobem jest nudna), Napo. d'Abrantes (poczynający), Defauconpret (dobry tłumacz, lecz nieznośny pisarz), Loëve-Veimars (tłumacz Hoffmana i Zschocke i niezły weale pisarz), staroświecki d'Arlincourt, piszący ciągle, który złożył sobie bibljotekę ze swoich romansów, tłumaczeń ich w rożnych językach i powtórnych edycyj, które robi sam wykupując piérwsze i t. d. i t. d. i t. d.

Każdy z tego tłumu, któryśmy wymienili, ma swój oddzielny sposób pisania, mniéj więcéj oryginalny, żaden z nich (uprzedzam nieświadomych) nie jest zupełnie bez talentu, a jednak jest ich tylu! W stosunku choć piątą część ich miećbyśmy powinni;— i mamy nawet, ale nasi pisarze tłumaczą tylko cudze: bo któż chciałby czytać jakiegoś *ski* lub *wicz*, kiedy może mieć Balzak'a, Sue i Hugo? A ci, którzy czytają naszych *ski* i *wicz*, czyż ich rozumieją?

Niestety! wiele wody upłynie, nim będziemy mieli właściwie swoich i oryginalnych pisarzy:—cieszmy się tym czasem *Podstolim* i *Janém z Tęczyna!* Cóż robić!

(J. J. Kraszewski.)

PRZYPOWIEŚCI W DUCHU PISMA Ś.

BÓG najlepszy ojciec.

Było dwóch ludzi sąsiadów, a każdy z nich miał żonę i wiele małych dziatek, a samą tylko pracą ich wyżywiał.

I jeden z tych dwóch ludzi frasował się sam w sobie, mówiąc: «Jeśli ja umrę, lub zachoruję, w cóż się obrócą żona i dzieci moje?»

I ta myśl nie opuszczała go, i gryzła ona serce jego, jak robak gryzie owoc, w którym jest ukryty.

Ale, chociaż ta sama myśl przyszła zarówno i drugiemu ojcu, on się jéj nie oddawał: mówił bowiem: «Bóg, który zna wszystkie stworzenia swoje, i który czuwa nad niémi, będzie też czuwał nade mną, i nad mą żoną, i nad dziećmi mémi.»

I on żył spokojnie, wtedy, gdy piérwszy ani chwili pokoju, ani radości wewnątrz nie kosztował.

Pewnego dnia, ten ostatni pracując w polu, smutny i z bojaźni na duchu upadły, postrzegł jakieś ptaszki, co wlatywały do krzaku, wylatywały zeń, i potém wkrótce znowu tam wracały.

A przybliżywszy się, obaczył dwa przyległe sobie gniazda, i w każdém wiele ma-

łutkich, niedawno wylęgłych i jeszcze bez piór.

I gdy powrócił do pracy, coraz podnosił oczy, a przypatrywał się ptaszkóm, które wylatywały i wracały niosąc pożywienie malutkim.

Lecz, oto w chwili, kiedy jedna matka z pełnym dziobkiem wracała, sęp ją chwyta, unosi, i biédna matka, trzepocąc się naprożno w jego szponach, wydawała przenikające krzyki.

Na ten widok, człowiek, który pracował, zasępił się bardziéj niż przedtém: myślał on bowiem: «śmierć matki, jest śmiercią dzieci. Moje też nikogo, prócz mnie, nie mają. Cóż się z niémi stanie, jeśli ja ich opuszczę?»

I cały dzień był on ponury i markotny, a w nocy sen mu powiek nie zamknął.

Nazajutrz, wróciwszy na pole, rzekł do siebie: «obaczę ja pisklęta biédnéj matki: wiele, bez wątpienia, już poginęło.» I udał się do krzaku.

A oglądając, ujrzał je w dobrym stanie; każde zdawało się bydź zdrowém.

I gdy to go zdziwiło, on się ukrył, aby uważał co się dziać będzie.

A po niejakiéj chwili, usłyszał krzyk lekki, i postrzegł drugą matkę skwapliwie przynoszącą uzbiérane pożywienie, a rozdała je ona każdemu malutkiemu bez różnicy, i było go dość dla wszystkich, i o sierotach w nędzy nie przepomniano.

A ojciec, który był zwątpił o Opatrzności, opowiedział wieczorem drugiemu ojcu co widział.

A on mu rzekł: «Przecz się niepokoić? Bóg nigdy swoich nie opuszcza. W miłości jego są tajemnice, których my nie pojmujemy. Wierzmy, miejmy nadzieję, kochajmy, i postępujmy swoją drogą w pokoju.

«Jeśli ja umrę piérwéj, ty będziesz ojcem mych dzieci; jeśli ty wprzód, ja będę ojcem twoich.

«Jeżeli zaś obadwaj umrzémy piérwéj, niż one będą w stanie same potrzebóm swoim zaradzić, ojcem ich będzie Ojciec, który jest w Niebiesiech.»

Pociecha matki.

Było to nocą zimową. Wiatr dął na dworze, i śniég dachy ubielał.

Pod jednym z tych dachów, w ciasnéj izdebce siedziały pracując ręcznie, niewiasta siwowłosa i młoda dziewica.

A kiedy niekiedy staruszka ogrzéwała u małego ogniska blade swoje ręce. Lampa z białéj gliny rozjaśniała to ubogie mieszkanie, a jéj promień konał na obrazie Najświętszéj Panny, na ścianie zawieszonym.

I młoda dziewica, podniósłszy oczy, poglądała na sędziwą niewiastę kilka chwil

w milczeniu; potém ozwie się do niéj: «Mamo! tyś nie była zawsze w téj nędzy?»

A jéj głos był niewypowiedzianie słodkim i czułym.

I staruszka rzekła: «Córko moja, Bóg jest panem: cokolwiek on czyni, dobrze czyni.»

To powiedziawszy, czas niejaki milczała; potém znowu rzecze:

«Straciwszy twojego ojca, sądziłam, że nic boleści mojéj złagodzić nie zdoła: tymczasem tyś mi pozostała; lecz jedno tylko wtedy mię obchodziło.

«Potém, myślałam sobie: jeśliby on żył i widział nas w téj ciężkiéj biédzie, nie wytrzymałaby dusza jego; a jam poznała, że Bóg był jemu litościw.»

Dziewica nic nie rzekła, skłoniła ona głowę, i kilka łez, które usiłowała ukryć, stoczyło się na płótno, co trzymała w ręku.

Matka dodała: «Bóg, który był litościw jemu, i nam także był litościw. Czegoż nam nie dostaje, gdy tylu innym na wszystkiém zbywa?

«Prawda, że potrzeba nam było przywyknąć do przestawania na małém, i to małe własną zarabiać pracą; lecz to małe, zaliż nam nie wystarcza? a wszyscy nie sąż piérwiastkowo skazani z pracy utrzymywać życie?

Bóg dobrotliwy chleba nam powszedniego udzielał; a wieluż to i tego nie mają?—

mieliśmy własny kątek, a jakże wielu nie mają, gdzieby i głowę skłonili?

«On mi dał ciebie, moje dziécię: i czegoż mam narzekać?»

Na te ostatnie słowa, dziewica w największém rozczuleniu pada u kolan swéj matki, całuje jéj ręce i łkając rzuca się w jéj objęcia.

A matka, usiłując głos podnieść: «Córko moja, rzecze, nie ten jest szczęśliwym, kto posiada wiele, lecz kto ma nadzieję i kocha wiele.

«Nie na tym świecie nadzieja nasza, toż i miłość nasza — doczesna, jeżeli jest, przemija.

«Po Bogu tyś mi wszystkiém na świecie; lecz ten świat, jako sen, znika, i dla tego miłość moja razem z tobą do innego wznosi się świata.

«Kiedym cię nosiła w mém łonie, dnia pewnego gorętsze, niż zwykle, do Najświętszéj Panny zasyłałam modły, i ona objawiła mi się we śnie, i zdało mi się, że z niebiańskim uśmiéchem podawała mi małe dziécię.

«A jam wzięła dziécię, które mi ona podawała, i gdym je trzymała na rękach, Bogarodzica wieniec z róż białych na jego głowę włożyła.

«Po kilku miesiącach tyś się urodziła, a słodkie widzenie było ciągle oczóm moim przytomne.»

To mówiąc staruszka wstrzęsła się ra-

dośnie, i przycisnęła młodą dziewicę do swojego łona.

A po niejakim czasie pewna świątobliwa dusza widziała wznoszące się ku niebu dwie świetne postaci — orszak aniołów im towarzyszył, a powietrze rozlegało się ich radośnémi śpiéwy.

(X. L.)

TO WSZYSTKO DLA TEGO, ŻE SIĘ POROZUMIEĆ NIE MOGĄ.

Wié świat o tém, że djabeł kulawy, pomimo niektóre na niego rzucane potwarzy, był to dobry i zacny djabeł. Wdzięczność, jaką się wypłacił temu, który roztrzaskał jego szklane więzienie (gdyż i to wiadomo, że on był więźniem zamkniętym w butelce), oraz skrzętna troskliwość w opowiadaniu wybawcy swojemu i przedstawianiu mu wszelkich swawoli rozpustnych i gorszących, okryły go sławą szlachetności, która zdobić go nie przestanie, póki złe duchy na świecie istnieć będą. A tak niezawodnie można mu nieśmiertelność przepowiedzieć.

Ja zaś wprowadzam na scenę drugiego szatana, krewnego Asmodeusza, zowiącego się Astarotem. Ten Astarot lubił Suriwala, a Suriwal był to w pewnym

gatunku mędrzec, który wiele rozumował o ludziach; a zostając sam naówczas w nieszczęściu, złorzeczył całemu rodzajowi ludzkiemu, dowodząc wymownie: że wszystko tu na ziemi źle jest urządzone, i że daleko trudniéj szczęście, niżeli kamień filozoficzny wynaleźć.

Pewnego dnia wziął go Astorat na stronę, w zamiarze dania mu nauki, sposobem przedstawującym widownią moralną. Wyniósł go na wysoką wieżę, z lunetą w ręku, nadającą mu postać członka akademii, wstępującego na *uważalnią* (*observatorium*). Nie było ich celem dociekanie obrotów ciał niebieskich, lecz śledzenie tego, co się dzieje pomiędzy ludźmi, których czynności skryte, nie z taką jak gwiazdy łatwością dają się dojrzeć.

Zapaśny Astorat miał przy sobie trąbkę, posługującą osobóm słuchu pozbawionym. «Oto masz, rzekł do Suriwala, lunetę, przez którą możesz wszystko widzieć, i tę trąbkę, za pomocą któréj usłyszysz najskrytsze rozmowy, choćby te miały miejsce na ostatnich nawet krańcach ziemi.» I w téj chwili przybliżył lunetę do oka Suriwala, który postrzegł istotę suchą i wybladłą, siedzącą u toalety; był to człowiek wielce bogaty i młody, obarczony słabościami i cierpieniami starości, dręczony dychawicą, podagrą i t. p.; lecz nade wszystko pogrążony w rospaczy z przyczyny wyrosłego mu guza na twarzy, który bardziéj go trapił niżeli

dychawica i podagra: bo te ostatnie zadawały mu tylko cierpieniami, narośl zaś ta oszpecała oblicze jego.

Astorat skierował lunetę w inną stronę, i Suriwal postrzegł doktora medycyny, który acz nie był w nauce swego powołania doskonałym, ogłaszał jednak o posiadaniu przez się nieomylnych i bezpiecznych śrzodków do zniszczenia wszelkich narośli na ciele, jako to: dymienic, brodawek i t. p. «Nie jestże to oszust lub empiryk jarmarkowy? pytał Suriwal: — bynajmniéj, odpowiedział jego przyjaciel, on mógłby doskonale zaradzić i zniszczyć tę narośl na twarzy, którą widziałeś, jeśliby został do tego wezwany. Lecz ten ubogi doktor umiéra z głodu, iż nie ma w téj stronie, ktoby żądał jego pomocy, a nasz chory rospacza, że nie znajduje lekarza. Widzisz przeto, dla czego tak się dzieje? bo się porozumieć z sobą nie mogą. Jeśliby zaś jeden udał się do drugiego: piérwszy zostałby uzdrowiony, a drugi miałby za co obiad dla siebie sporządzić.

Oczekiwał Astorat niektórych zarzutów od Suriwala; lecz ten dzielnością lunety ubawiony, wolał raczéj przedłużać ciekawe śledzenia, aniżeli tracić czas na sprzeczkach niepożytecznych.

Następnie zwrócił uwagę jego widok rospaczającego męża, w chwili, kiedy miał zostać wdowcem, wydziérającego ze swéj głowy włosy i zaléwającego się łzami, w kon-

wulsyjném poruszeniu. «Wybornie! zawołał Suriwal, ten widok jest do zbudowania: to mi prawdziwy małżonek, tak serdecznie przywiązany do swojéj żony!

«Tak, rzecze Astorat, to jest text, posłuchaj teraz jego wykładu. Ten małżonek po zgonie swojéj żony winien będzie powrócić familii znaczny jéj wniosek, cały fundusz nieboraka w obecnym czasie składający, z powodu niedostatku potomstwa. Natenczas w Suriwalu uczucia szacunku dla męża ostygać zaczęły. Lecz zajrzyj nieco daléj, mówił Astorat, widzisz tego człowieka, okładającego bolesnémi razami swojego syna, który będąc wygnany, powraca zawsze do ojca, i jest dla niego ciężarem, gdyż nazbyt wiele ma dzieci. Przeciwnie mąż ów rospaczający, któregośmy widzieli, nie ma żadnego potomka. Wiedział on oddawna, iż pomimo życzenie kochającéj go żony, nie mógł ani jéj, ani siebie pocieszyć własném potomstwem. W takim zaś razie nie zbywa nigdy kobiétom na sposobach. Azali zdołasz zaprzeczyć temu, iż zaradzając wcześnie, za wspólną zgodą z mężem, mogła się zręcznie udadź do tego osypanego dziećmi człowieka... lub za umową jedno z nich dla siebie przysposobić? ale tak się nie stało. Wszystko to pochodzi ztąd, że się porozumiéć z sobą nie mogą.

Suriwal nie doczekał końca téj rozmowy: bo niebacznem wzruszeniem ręki luneta ku innéj stronie naprowadzona, zwró-

ciła jego uwagę na młodą osobę, wydającą głębokie westchnienia, któréj piętnasty rok życia jedyną był dolegliwością zadającą jéj nieznośne cierpienia, mieszkała ona w domu ojcowskim wyobrażającym więzienie. Ojciec nazywał ją swą córką, ta zaś była w rzeczy saméj tylko niewolnicą. Piersi wzdęte wzdychaniami, zostawały w nieustanném poruszeniu; jednak rysy jéj twarzy, nic przez to ze swych piękności nie utracały.

Niestety! zawołał Suriwal przejęty uczuciem, które mniemał bydź uniesieniem saméj tylko litości nad cierpieniem dręczącém tak lubą istotę; lecz tu się kryje coś innego: ma ona potrzebę zostać kochaną, rzekł Astorat, wymawiając zaś te słowa obrócił lunetę, i Suriwal z podziwieniem postrzegł nieco starszego od téj dziewicy młodzieńca nie mogącego na miejscu ani ustać, ani usiedzieć, w ciągłém poruszeniu i niespokojności, słowem, miotanego, jakoby, najdotkliwszą dolegliwością, któréj najmniejszych śladów cera jego nie okazywała. Przebóg! rzekł Suriwal, co takiego dokucza temu biédnemu młodzieńcowi? On ma potrzebę kochać, odpowiedział Astorat. Ach czemuż nie stara się zaznajomić z tą młodą Panną? wykrzyknął z uniesieniem Suriwal. Na co Astorat. Owoż, i tu się prawdzi, com ci wprzód powiedział, że się z sobą porozumieć nie mogą.

Patrz! patrz! przydał Astorat masz przed oczyma dwie osoby, które także nie

są w porozumieniu; ten mężczyzna na palcach przesuwający się, rozmawiający szepcącym głosem, w postaci obłudnéj, który sypie pieniądze na wszystkie strony, aby obdarzonych słuchem dobrym i wzrokiem bystrym uczynić niemymi i głuchymi, który, jednėm słowém, podobny jest do złodzieja wpaśdź mającego niebawnie w ręce sprawiedliwości.

Jestto mąż wprowadzający do swoich pokojów skrycie młodą dziewczynę, w któréj do szaleństwa jest rozkochany. Mówi on teraz sam do siebie: «Ach! gdyby moja żo«na, która nazbyt jest mi wierną, mogła u«patrzyć sobie jakiego gacha, nie zatrważa«łyby mię wówczas oczy jéj na moje postę«pki zwrócone; nabyłbym przez to więcéj «swobody, a tém samém zostałbym szczę«śliwszym!»

Ma on słuszność za sobą, ozwał się Suriwal: dobrze! odpowié Astorat, lecz spojrzyj na jego małżonkę, w téj chwili wprowadzającą do swego apartamentu młodego mężczyznę którego kocha także najgoręcéj; jak temiż samémi uczuciami przejęta, w równéj niespokojności i w tymże samym co i jéj mąż zostaje kłopocie.

«Ach!.. (mówi ona), gdyby wierny mój «małżonek mógł choć raz w życiu zostać «lekkomyślnym, niebym do zarzucenia so«bie nie miała; i bez wątpienia wówczas «byłabym szczęśliwszą.» Widzisz więc Suriwalu, że temu stadłu, dla wzajemnego

pobłażania i szczęśliwego pożycia w zgodzie i pokoju, pozostaje tylko rzec jedno słowo. Jeszcze to nie jest gruntownie dowiedziono, przykładając trąbkę do ucha przerwał Suriwal, gdy w tém wrzask przerażający nie dał im dokończyć rozpoczętéj rozmowy. Człowiek bowiem jeszcze nie zupełnie podeszłego wieku dąsał się przeciw niebu i ziemi, powtarzając krzykliwym głosem: «Ja «co posiadam rozsądek i naukę, piszę wier«szem i prozą, okrywam się chwałą w tea«tralnym i filozoficznym zawodzie, wszędzie «ścigany jestem przez nędzę i ubóztwo, chę«tniebym wielką część méj sławy odstąpił «za małe pieniądze!» Ten człowiek zasmuca cię rzecze Astorat, zwróć oczy w tę stronę: owoż bogacz dręczony zgryzotami (który na Suriwalu nie uczynił mocnego wrażenia), lecz zadziwiło go bardziéj, gdy za pomocą trąbki usłyszał jego narzekania w tych słowach: «Opływam we wszelkie dostatki, «a nie mam żadnéj pociechy i zadowolnie«nia; zbywa mi na sławie, a gdy pragnę «chlubić się wziętością wielkiego człowieka, «znany jestem tylko pod imieniem bogacza; «ach! chętnie poświęciłbym znaczną część «bogactw moich i zaliczyłbym wielkie pie«niądze za najmniejszy udział najulubieńszéj «mi sławy!»

Suriwal w piérwszém uniesieniu nie zwracając uwagi na to, że jego słowa nie mogły bydź słyszane, przemówił do nich, aby nabył ów bogacz manuskrypt od uczonego.

Lecz że ci podobnéj jak on trąbki nie mieli, rady więc Suriwala z wiatrami uleciały.

Ci Jchmość nie słyszą słów twoich, ostrzegł go Astorat, a co gorzéj, że i z sobą porozumieć się nie mogą. Rzecz nie wątpliwa, że podług rady twojéj jedenby mógł nabydź chwały, drugi zaś bogactw, a tak byliby obaj zadowolnieni.

Nakoniec pokazał Astorat wiele przedmiotów ciekawych, a pomiędzy innémi człowieka w niezmiernych kłopotach wielce znużonego, szukającego współ-biesiadników do swojego stołu, wychodzącego do miasta dla zrekrutowania tam liczby osób, ledwie mu z nazwiska znajomych, których na obiad do siebie z naleganiem zapraszał. Kiedy w ogrodzie publicznym w tymże czasie widział osłabionego z wybladłą twarzą zacnego młodzieńca niemogącego wynaleźć przyjaciela, któryby go wezwał do posiłku. Na inném miejscu stawał przed ich oczyma młody modniś troszczący się o wynalezienie kredytu, pod warunkami dla wierzyciela wielce korzystnémi, a z pewnością na odpowiedzialność dostateczną. Z kolei bogatego postrzegli dziedzica dręczonego niemożnością wynalezienia takiéj osoby, któréjby mógł, ze znaczną dla siebie korzyścią, uczynić pożyczkę leżących bez użytku pieniędzy. I tym podobne inne oczóm ciekawych naszych śledzicieli przedstawiały się sprzeczne widoki. A to jedynie dla tego, że się ludzie porozumieć nie mogą.

Bardzo dobrze, przerywając dalsze postrzeżenia rzekł Suriwal, lecz chciałbym wiedzieć, jaki jest cel moralny naszego śledzenia, i jaki wniosek z tego uczynić można?

Ja rozumiem odpowiedział Astorat, że przyrodzenie obdarzyło ludzi tém wszystkiém cokolwiek tylko dla szczęścia ich jest potrzebne, i że oni sami sobie zaradzać powinni, jeśli nie czują się bydź nieszczęśliwymi.

Sprawiedliwie mówisz mój kochany filozofie (tak kończył rzecz Suriwal) dostatecznie przeświadczony jestem; że pomiędzy ludźmi znajduje się wszystko to, czego oni potrzebują, lecz mniemam, że nie pocieszą się nigdy stanem pomyślniejszym, jeśli mieć nie będą twojéj trąbki dla porozumienia się, i twojéj lunety dla wzajemnego siebie postrzeżenia.

(Imbert: — *Biblioteque de Société.*)

BIBLIOGRAFIJA DAWNA POLSKA.

Pisma niektóre treści duchownéj, w Sankt-Petersburskiéj Cesarskiéj *bibliotece opisane, o których* Bentkowski *tudzież dalsi bibliografowie zamilczeli* (*).

— 21. Dysputacya lubelska Piotra Statoriusa sługi słowa Bożego, o przedwie-

---

(*) Ob. Tomik trzeci *Wizerunków* str. 169 i nast., tudzież Tomik ósmy str. 137 i nast.

cznym bóstwie syná Bożego z X. Adryanem Rádzimińskim Jezuitą A. C. 1592. 22. et 23. Maii. Przez tegoż Piotra STATORYUSA wydaná. W Drukárni Alexego Rodeciusá. 4to (x) str. 51. — Autor powiada że się widział zmuszonym do wydania tey dysputacyi przez wyyście pisma następnego.

— 22. Disputacya Lubelska X. Adryana Radzymińskiego S. J. Theologa z Statoryuszem Ministrem Nowokrzczeńskim, o przedwieczności Bóstwa, Pana y BOGA naszego JEZUSA CHRYSTUSA dnia 22 y 23. Máiá. Roku 1592. Wydana przez Jana PRZYLEPSKIEGO. W Krakowie, w Drukárni Jákubá Siebeneycherá, R. P. 1592. 4to ark. 7½. — Przeciw Jezuicie.

— 23. Opisanie Disputatiey Nowogrodzkiey, którą miał X. Marcin SMIGLECKI S. J. z Janem Licyniuszem Ministrem Nowokrzczeńskim o przedwiecznym Bóstwie Syna Bożego 24. y 25. Januarii w R. 1594. wydane przez X. Woyciecha ZAIĄCZKOWSKIEGO. w Wilnie MDXCIIII. 4to (VIII) i 56. str. — Przeciwko różnowiercóm.

— 24. Disputacia Nowogrodzka odpráwowána R. P. 1616. d. 9. Stycznia szczyrze wydána przez Lukasza WĄDŁOWSKIEGO Pisárzá teyże Disputatiey, w Lubczu R. P. 1616. 4to. ark. 3. Dysputacya ta była między Benedyctem Briniliusem Jezuitą

z Nieswieża a Janem Zigrowiuszem Kaznodzieją Ewang. — Autor przyznaje zwycięstwo Zigrowiuszowi.

— 25. Relatia prawdźiwa desputacyey Nowogrodzkiey, ktora się działá d. 9. Stycznia, R. P. 1616 y wyraźne okazanie wielkiey nieszczyrości Łukasza Wądłowskiego w opisaniu tey disputaciey. Wydana przez X. Marcina Gradowskiego Commendarza Nowogrodzkiego. W Wilnie W drukarniey Józefá Kárczáná. Ded. do Mik. Zienowicza Wdzica Brzeskiego dat z Wilna 14 Junii r. 1616. 4to ark. $9\frac{1}{2}$. — Każdy punkt autor trutynuje i stara się o fałszu przekonać.

— 26. Odpór przednieyszym powieściom evańielickim, o Sakramencie ciałá y Krwie Páńskiey. X. Marcina Żagiela Michayłowiczá Stud. Th. w Akad. Wil. do wszystkich osób Evánielickich. w Wilnie R. P. 1600. 4to ark. 6. Na odwr. herb Róża Ded. do Malchera Giedroycia Bisk. Żmudzkiego dat w Wilnie 6. Aug. 1600 r. — i to dziełko jest pióra Hier. Stefanowskiego S. J.

— 27. Żebraczy płaszcz Luterski (godło Luk. 18 v. i Marek 10.) rycina niezgrabna. 4to ark. 3. Na odwr. wiersz Malchera Prakowskiego. W przemowie do czytelnika nazwał się autor Wilhelm Kaal. dat. z Poznania roku 1590. — Jest to krótka apologia wiary Katol. przeciw różnowiercóm. Na

końcu: W Poznaniu w Dr. Jana Wolraba 1590.

— 28. Qwestiyey kilkádziesiąt, albo Pytania Katholickie, o prawdziwym Kościele Páná Krystusowym, o Piśmie S.: y o rozlicznych błędźiéch y bluźnierstwách Ewanijelików dźiśieyszych. Andrzejowi Wolanowi y Ministrom Litewskim przez X. Andrzeiá Jurgiewica Kánonika Wileńskiego ku rozwiązaniu podáné. Y z róskazania J°. M. X. Jérzégo Rádźiwiłá K. S. R. Kárdynałá, y Wilenskiégo Biskupá: w Wilnie piérwéy po łáćinie wydáné. A teraz z Lácinskiégo ná Polskié przełożoné. W Krákowie. W Drukárni Lázárzowéy R. P. 1590. 4to str. 42. — Naprzód przemowa Tłumacza w którey wspomina że wydali Ministrowie bezimiennie bez mieysca i drukarza jakiś traktacik przeciw kwest. Łac. Jurgiewicza (*Desideratur.*) Tych kwestiy jest 84. Znajome są skąd inąd.

— 29. *Theses Theologicae*, to jest Conclusie Synodalne Zboru Wileńskiego. *Defendentur in Coetu, alias* we Zborze Wileńskim, który jest pod Baranem, na wieży wystawionem. *Praeside Clarissimo et utriusque artis peritissimo Mistro Stanislao* Sudrovio: *Respondente vero dignissimo ipsius Ribaldo, seu locuto Joanne* Radvano *utroque fidelissimo discipulo Calvina* Francuza piątnowanego, y Bezy Sodomity sprosnego, jako je-

goż własne wiersze o tym świadczą. *Defendentur autem Mense Maijo* A. D. 1591. 4to ark. $1\frac{1}{2}$. Na odwr. Wa. Ty. Student Poznański. do czytelnika. — Jest to nayobelżywszy paszkwil przeciw nowowiercóm. Można tu się ciekawych rzeczy dowiedzieć o Sudrowskim, Wolanie, Chrząstowskim i t. d. sprawiedliwie napisał Załuski: *Rarissimus, Curiosissimus.*

— 30. Przestroga abo Napomnienie Listowne do Euangelików, w pułnocnych krajach, jako w Polszcze, w Litwie, w Inflanciech, w Prusziech etc. mieszkających. Aby w posyłániu dziatek swych do szkół Jezuitzkich, sami na się, potomstwo swe, y sumnienie własne baczenie mieli. Z niemieckiego na Polski przełożone. R. 1596. 4to ark. $2\frac{1}{4}$. — Autorem tego pisma jest Jerzy Mylius sł. Prof. Theol. w Genie. Bardzo zdrowe i słuszne uwagi. Wszystkie wady zakonnéj edukacyi rzetelnie wytknięte.

Słowo do Tomiku dziesiątego Wizerunków i Roztrząsań Naukowych.

Ku objaśnieniu tego, co się namieniło w nocie do dokumentu pomieszczonego w tomiku poprzedzającym Wizerunków, str. 128 i zbliżeniu czasów nie dość ściśle tam oznaczo-

nych, posłuży następna krótka wiadomość o biskupie wileńskim Pawle Xciu Olszańskim, łaskawie nam udzielona z rękopismów uczonego JW. X. Aloizego Osińskiego Infułata ołyckiego, zawierających wiele rzeczy ciekawych do dziejów krajowych, a wszczególności litewskich, z wielką pracą, nauką i dokładnością, przez lat wiele, gromadzonych.

Paweł Algimuntowicz xżę Olszańskie, herbu Hippocentaur, syn xiążęcia Olszańskiego kasztelana wileńskiego i starosty grodzieńskiego, ostatni rodziny swojéj potomek, dziedzic wołpiański, proboszcz płocki i skarbimirski, kustosz wileński, roku 1508 biskup łucki, roku 1512 znajdował się na zborze lateraneńskim za Juliusza III papieża, roku 1536 przeniesiony został na biskupstwo wileńskie, i rządził tą dyecezyą blizko lat dwanaście. W roku 1555 lutego 1 dnia, nie mogąc dla niezdrowia przewodniczyć na synodzie dyecezalnym, prosił kapituły, aby miejsce jego zastąpił biskup żmudzki Wacław Wierzbicki, co też i nastąpiło, sam zaś d. 4 września w tymże roku życia dokonał, dobra swoje zapisawszy królowej Bonie. Ponieważ dokument rzeczony zawiérający rozpoznanie sprawy wytoczonéj przed biskupa wileńskiego, między X. Gutowskim plebanem słuckim a poddanymi jego, datowany jest w *poniedziałek po Gromnicznéj*, a zatém w miesiącu lutym, sprawa ta oczywiście za życia i przed trybunał

Pawła xcia Olszańskiego wytoczona bydź musiała, gdyż Waleryan Protasewicz nastąpił na biskupstwo wileńskie, ale w roku następnym 1556.

Za tego to biskupa przybył do Wilna, roku 1542, niejaki Abraham Kulwa, rodem z Litwy, człowiek stanu duchownego i otrzymał pozwolenie od biskupa miewania kazań niemieckich w kościele św. Anny. Zjednał on był sobie zrazu przychylnych stuchaczów, ale gdy się potém odkrył z duchem przeciwnym nauce kościoła rzymskiego, biskup oddzielił go od towarzystwa wiernych, a król Zygmunt I. na przełożenie jego, kazał imać tego księdza sługóm sądowym świeckim i stawić przed sąd biskupi. Jeśliby zaś nie mógł bydź wynaleziony, aby dobro jego wszelkie rozdzielone było częścią na skarb królewski, na biskupa i na kościół katedralny wileński. Kulwa ten wspiérany od zamożnego obywatela Morsztyna, założył był szkołę swoję na ulicy niemieckiéj w Wilnie, i tam naukę swoję opowiadał, ale po śmierci Morsztyna obrońcy swego, musiał uchodzić, udał się do Królewca, i tam życie zakończył.

SPISANIE RZECZY, W TOMIKU JEDENASTYM ZAWARTYCH.